

# BLUSZCZ

*Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec*

ROK LX

WARSZAWA, DNIA 19 LUTEGO 1927 ROKU.

NR 8

TREŚĆ NUMERU: Z życia akademikzek w Warszawie—C. r. Echa kongresu genewskiego—H. M. Zróżniczkowanie się typu kobiecego po wojnie—C. *Walewska*. Te, które milczą o sobie—R. Z. Wiersze: Z cyklu „Meteor“: — „Pierwsze gwiazdy“, „Noc zimowa“ — *Stefanja Podhorska - Okółów* Jak słońce spija rosę (opowieść) (c. d.) — *Helena Ceysingerówna*. Święta prowincja — *M. Crnjanski* — w tłumaczeniu *M. Znatowicz Szczepańskiej*. Zuzanna ze Strzembosów Ożarowska (c. d.) — *Zofja Łosiowa*. Raj panów Jowialskich (feljton) — *W. Mił.* Z teatrów — *Z. P.* O wnętrzach mieszkaniowych — *Zygmunt Knothé*. Pierwsza pomoc w nagłych wypadkach — *Dr. med. Julia Świtalska*. Jak wychować kanarki — *J. S.* Cytryny, mandarynki, pomarańcze — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Kącik gospodarski. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty“: List z Paryża — *Y.* Kapelusze wiosenne. Kwiaty z gazy lub lamy metalicznej. Dodatek powieściowy: „Trzy kobiety annamickie“ — *C. Chivas-Bazan* (tłum. *Dr. M. Kastarska*). Arkusz wzorów.

## Z ŻYCIA AKADEMICZEK W WARSZAWIE

Jest w Warszawie około 3 tysięcy kobiet, studjujących na wyższych uczelniach. Mówimy: „około“—bo dokładnych cyfr otrzymać nie udało się nam, mimo usilnych starań.

Zastęp to spory — młodzież, przyszłość kraju! Mimo to, tak mało, tak niesłychanie mało wie o nich starsze, dojrzałe społeczeństwo.

Czyjaż to wina? Czy tych dojrzałych, czy młodzieży? Zapewne jednych i drugich. Zasklepamy się wszyscy zbyt chętnie w sferze najbliższych interesów osobistych, zawodowych, stowarzyszeniowych, partyjnych. Wyjrzeć poza tę sferę niema czasu, sposobności, dobrej woli...

A trzeba!

I warto, bo wszystko, co dziś odbywa się w społeczeństwie, jest niezmiernie ciekawe, interesujące, jak wszelkie początki, jak wszystko, co się rodzi dopiero. Polska jest u narodzin swego nowego bytu. Każdy szczegół, każde zjawisko ma w momencie takim niesłychaną wagę i doniosłość.

Cóż powiedzieć w tej chwili można o świecie naszych studentek?.. Staraliśmy się zebrać o nim informacje jak najdokładniejsze, jak najbardziej źródłowe.

W świetle ich oblicze duchowe obecnej generacji studentek przedstawia się dość blade i anemicznie.

To już nie te bojownice, pierwsze, co wbręw całemu światu zdobywały dla płci swojej prawo do wiedzy. Typ ten, oczywiście, zanikł już dawno. Nie jest to również typ młodej entuzjastki przedwojennej,

garnącej się gorąco zarówno do nauki, jak do wielkich haseł społecznych i politycznych.

Dzisiejsza, przeciętna studentka warszawska, (odnosi się to zapewne i do innych polskich środowisk uniwersyteckich) studjuje przedewszystkiem dlatego, żeby zdobyć możliwość zarobkowania. W mury wyższej uczelni zapędził ją ten system państwowy, który możliwość pracy w szkole średniej np. uzależnia od posiadania dowodu t. zw. „wyższego wykształcenia“, który wogóle dyskwalifikuje od zajęcia jakiegos poważniejszego stanowiska każdą jednostkę, która swego intelektualnego rozwoju urzędowym papierem zadokumentować nie może. Zastrzec się, oczywiście, trzeba, że charakteryzując tak ogólnikowo, dopuszczamy istnienie wszelkiego rodzaju wyjątków.

Naogół jednak nieinaczej przedstawia się sprawa. Studentkom dzisiejszym chodzi o byt, o chleb, o utrzymanie dla siebie i rodzin. To nie moda — jak twierdzi jeden z feljtonistów lwowskich — to twarda życiowa konieczność.

I to właśnie kładzie pewien ton szarzyzny na oblicze studjującego dziś pokolenia młodych kobiet.

Co do zainteresowań naukowych, medycyna ma dziś stosunkowo daleko mniej zwolenniczek, niż w owej „Sturm und Drangperiode“, gdy prawie wszystkie studentki szły na wydział medyczny. Dziś na filozofji stanowią one większość — 70% ogółu słuchaczy. Fakt ten popiera poprzednie nasze twierdzenie. Są to wszystko aspirantki do posad nauczycielskich w szkołach średnich. O pracy naukowej twórczej nie

marzą, sławy wielkich uczonych nie pragną, „bryły świata“ nie chcą pchnąć na nowe tory.

Akademiczka współczesna, zwłaszcza ta, pochodząca ze środowisk niezamożnych, przepracowana do niemożliwości, obok studjów zarabiająca na utrzymanie siebie, a czasem i kogoś z rodziny, mieszka kątem, po wilgotnych i zimnych norach, jada byle co, a nie dojada nigdy, śpieszy się wciąż, śpieszy, żeby skończyć jaknajprędzej studia i osiągnąć upragniony cel: posadę państwową.

W tem życiu, wypełnionem słuchaniem wykładów i „kuciem“ do egzaminów, niema, poza pracą zarobkową, na nic już więcej miejsca.

Polityka jej nie zajmuje, na sprawy społeczne nie ma czasu.

Wprawdzie są wśród studentek naszych wyznawczynie wszelkich kierunków politycznych, od najskrajniejszej lewicy do najskrajniejszej prawicy, a podobno, przeważa centrum — ale o czynnym ich udziale w życiu politycznym niema prawie mowy. Informowałam się, czy interesują je zagadnienia etyczne, filozoficzne, religijne?

Tak — raczej to, niż polityka i sprawy społeczne,

Jedne lgną do różnych odłamów teozoficznych, inne są gorliwymi uczestniczkami stowarzyszeń ściśle katolickich. Dużo czasu, jednak, sprawom tym poświęcać nie mogą.

Wiele zwolenniczek ma sport. A. Z. S. liczy dużo członkiń. Niema jednak pośród nich „gwiazd“. Traktują, bowiem, sport nie zawodowo, ale poprostu, jako niezbędną stronę w harmonijnym rozwoju jednostki.

W ostatnich czasach kilkadziesiąt studentek utworzyło hufiec przysposobienia wojskowego pod kierunkiem Sekcji warszawskiej Komitetu społeczno-przysposobienia kobiet do obrony kraju.

Nieliczne jednostki, mogące oddać się, obok studjów, pracy społecznej, podejmują ją prawie wyłącznie na terenie harcerstwa żeńskiego, lub w koleżeńskich instytucjach samopomocy. Nie wychodzą zatem poza orbitę życia młodzieży.

W tem miejscu dotknąć musimy spraw dosyć drażliwych i przykrych. Chodzi o tę samopomoc koleżeńską.

Głównym jej organem, jak wiadomo, są organizacje „Bratniej Pomocy“, na których czele stoi t. zw. „Centrala“.

Do „Bratniej Pomocy“ zapisanych było w Warszawie w r. 1925 — 6 na uniwersytecie — 1674 studentek, na Politechnice — 151, w Szkole Gł. gospodarstwa wiejskiego — 154, na Wyższych kursach handlowych 278, w Szkole Nauk politycznych 51, na Wolnej Wszechnicy — 184, w szkole Sztuk Pięknych — 106, w Państwowym instytucie dentystycznym — 228. Ogółem 2826. Młodzieży męskiej zaś należało w tym okresie do „Bratniej Pomocy“ ogółem 8961.

Stanowiły więc studentki mniej-więcej  $\frac{1}{3}$  liczebno-go składu młodzieży męskiej.

I oto, z wyjątkiem Instytutu Dentystycznego, gdzie kobiety stanowią przynajmniej większość ogółu słuchaczy, w zarządzie żadnego z Kół nie widzimy kobiet. Niema też ani jednej w Zarządzie Centrali.

Zaprawdę, „Bratnia Pomoc“ jest jedną z najdziwniejszych, najbardziej archaicznie rządzących się organizacyj współczesnych. Fakty powyższe rzucają też właściwe światło na ową, podkreśloną przez nas, anemiczność obecnego pokolenia studjujących kobiet. Obojętne na wszystko, nie dbają nawet o własne interesy. Bo oto rezultaty tej ich nieobecności wszędzie tam, gdzie być powinny, odsłaniają bardzo ciekawą, ale i bardzo smutną kartę wewnętrznego życia młodzieży akademickiej.

Chodzi o podział funduszków.

Ktoś, zakochany w ideałach średniowiecza, przypuszczałyby gotów, że młodzież męska, opanowawszy niepodzielnie ster organizacji, z rycerską galanterją zachowa się w stosunku do koleżanek i raczej na rzecz tych bezdomnych niewiast, wynajmujących kąty po stróżowskich suterrenach, ustąpi coś ze wspólnych funduszków, niżby miała ukrzywdzić stronę słabszą. Ale dajmy pokój tym idylmom. W dzisiejszych czasach, zwłaszcza, gdy w grę wchodzi interesy, niema mowy o galanterji.

Doskonale! Niech żyje równouprawnienie, ale niechże będzie naprawdę równo-uprawnieniem. Nie depczmy po zasadzie sprawiedliwości.

Zgodnie z tą zasadą i z zawartymi przez współdzielnię „Dom Akademiczek“ umowami, dochody z opłat akademickich, z t. zw. „czesnego“, miały być dzielone w stosunku procentowym między młodzież żeńską i męską. Pod tym warunkiem podjął się „Dom Akademiczek“ przyjąć koleżanki „najbiedniejsze“, normując ceny komornego w sposób możliwie najdośćępniejszy dla nich.

Aliści w roku ubiegłym zawartą została szczególnego rodzaju tranzakcja. Centrala Akademickich Bratnich Pomocy uzyskała w jednym z banków lwowskich znaczną pożyczkę, gwarantowaną pełną sumą dochodów z chesnego (pochodzących zarówno od koleżanek, jak kolegów Polaków).

Pieniądze te zużywa się obecnie na wykończenie wspaniałego 9-cio piętrowego pawilonu na kolonii akademickiej, męskiej przy ul. Grójeckiej. Luksusowy ten budynek, mieszczący baseny kąpielowe, pływalnie i t. p., wykończony być ma już w roku bieżącym.

Zaś koleżanki nie otrzymały w tym roku nic i skromnego swego Domu Akademiczek przy ul. Górnośląskiej wykończyć nie będą mogły, o ile nie otrzymają pożyczki z Banku Gospodarstwa Krajowego.

Oto, jak wygląda w praktyce równo-uprawnienie.

A teraz idźmy dalej: Gdy na skutek niedotrzymania przez Centralę umowy, Dom Akademiczek po-

padł w pewne deficyty, gdy mianowicie na zapłatę za węgiel brakło mu 9 tysięcy złotych, a od „najbiedniejszych“ lokatorów swoich sumy tej wyegzekwować nie mógł, Zarząd spółdzielni zwrócił się do Komitetu Stołeczno-wojewódzkiego (instytucji nadzorczej nad funduszami Bratniej Pomocy) z prośbą o udzielenie mu zapomogi z funduszy, przeznaczonych na doraźną pomoc dla młodzieży.

Zdawałoby się, że wobec wyrządzonej poprzednio krzywdy, to przynajmniej ustępstwo uczynić należało. Nie! „Domowi Akademiczek“ odmówiono i tej pomocy.

Tak wielkiej zapomogi nie udziela się kobietom. A teraz przypatrzmy się, jak wyglądają stosunki mieszkaniowe?

Z domów akademickich korzysta 1046 akademików, a tylko 207 akademiczek.

Stanowią one  $\frac{1}{3}$  stanu liczebnego młodzieży męskiej, zapisanej do Bratniej Pomocy, a korzysta z ułatwień mieszkaniowych tylko  $\frac{1}{5}$ .

Warto też zwrócić uwagę na fakt, że poza spółdzielnią „Dom Akademiczek“, Bratnie Pomocę tylko 44 koleżankom zapewniły mieszkania. Dziwne to wszystko i przykre. I nawet nie może budzić współczucia dla strony pokrzywdzonej. Bo przecież niedołęstwem niesłychanym jest nie zapewnić sobie wpływu i udziału w zarządach poszczególnych kół i w samej Centrali. Nie budzi współczucia, kto toleruje zło

i niesprawiedliwość przez apatię, brak zdolności organizacyjnych i jakąś atrofję zmysłu społecznego.

Interesującą może będzie informacja, że Żydowska Bratnia Pomoc, która dla swojej młodzieży męskiej wniosła właśnie wspaniały gmach — dla akademiczek Żydówek ani jednego „domu“ nie posiada.

Niedorozwój poczucia sprawiedliwości jest tam jeszcze głębszy.

Wracając do polskich akademiczek, studujących na gruncie warszawskim, rzuca się w oczy, jako źródło wszystkich tych przykrych objawów, brak odrębnej akademickiej organizacji kobiecej.

Doktrynerstwem pewnego rodzaju jest nie widzieć tej sprzeczności interesów, jaka istnieje między młodzieżą męską i żeńską, między mężczyzną i kobietą wogóle. Nie chcemy przeciwieństw tych zaogniać, ale nie możemy zgodzić się na bierne, fatalistyczne traktowanie żywotnego zagadnienia. Gdzie istnieją przeciwieństwa, gdzie bądź co bądź, nawet mimo nieporównanej zgodliwości naszych akademiczek, toczy się walka, tam trzeba stworzyć właściwe narzędzia obrony i ataku. Takim narzędziem może być tylko odrębna organizacja akademiczek. Ma taką organizację Lwów, nie ma jej Warszawa.

Przypuszczamy, że gdy już „Dom“ na Górnośląskiej zgromadzi większą ilość rozproszonych po całym mieście studentek, zrodzi się w nich poczucie siły zbiorowej i wskaże im właściwą drogę postępowania.

C. r.

## ECHA KONGRESU GENEWSKIEGO



Nad lazurową wodą Lemańskiego jeziora, pod wysokim protektoratem Ligi Narodów, odbył się zeszłoroczny Kongres Międzynarodowej Organizacji Szkolnictwa Średniego. Genewa nie miała, jednak, tego szczęścia, co trzy lata temu Warszawa, która gościła podczas VI kongresu tu odbytego około 300 osób. Dzisiejsze ogólne warunki materialne, a w szczególności przysłowiowa szwajcarska drożyzna, ośmieliła na narażenie się na koszta podróży zagranicznej, zaledwie około 40 osób, reprezentujących 11 państw, wśród nich i Polskę. A szkoda, bo zagadnienie, któremu kongres poświęcono, jest i aktualne, i wielce potrzebne, i wysoce interesujące, nie tylko dla fachowców pedagogów, lecz dla szerokiej warstwy myślącego ogółu.

Dla kogóż dzisiaj, po przeżytych niedawno okropnościach, nie jest marzeniem ukochanym wykreślenie nazawsze wojen z akcesorjów dziejowych? Któż

ośmieli się odpędzać białego gołębia pokoju? Jeżeli przechodzimy nad zagadnieniami pacyfizmu z uśmiechem do porządku dziennego, to nie jest to uśmiech pogardy, lecz niewiary, niewiary w możliwość rozwiązania inaczej problemów życia, jak walką na miecze.

I dlatego wszyscy słuchamy z zaciekawieniem, co mówią przedstawiciele Międzynarodowej Organizacji, mającej może niepoślednie wpływy na kształtowanie przyszłości, przez wychowanie nowego pokolenia.

Kongres Genewski postawił sobie, jako temat dyskusji, kwestję: „W jaki sposób nauczanie historii i geografii mogłoby obudzić w dziecku poczucie solidarności ludzkiej w czasie i miejscu?“ A w związku z tem wyjaśnienie stosunku swego do Ligi Narodów, Międzynarodowego Biura Pracy i Czerwonego Krzyża Młodzieży. Zjazd, otwarty solennie w obecności przedstawiciela rządu szwajcarskiego 24 sierpnia ub. r. w auli uniwersytetu genewskiego, poprzedzony był przez ankietę, wyjaśniającą obecny stan nauczania historii i ge-

ografji, jego celów i metod w poszczególnych państwach, oraz grupującą projekty reform w tej dziedzinie. Rezultaty ankiety, wydrukowane w Organie Związku, uprzyjętione były wszystkim członkom kongresu. Dlatego cała fachowa drobiazgowa dyskusja okazała się niepotrzebną, można było już uprzednio na podstawie zebranych danych, przygotować wnioski, co też i uczynił świetnie funkcjonujący sekretariat Kongresu w osobach pp. A. Beltette i J. Clavière (Francja). Posiedzenia zjazdu zostały wypełnione przez referaty znanych działaczy na niwie pedagogicznej, pacyfistycznej i nawet organizacji sportowej, jak np. p. P. Coubertin. Zaraz pierwszego dnia usłyszeliśmy wspaniałe przemówienia p. Th. Ruysen i p. Ernest Bovet na temat Ligi Narodów i nauczania o niej w szkolnictwie. Nie zamykając oczu na niedoskonałość obecną L. N., zwracał uwagę p. Ruysen, że trzeba stworzyć dla niej mocne i trwałe fundamenty, godne podtrzymania tak doniosłej organizacji. Tą podwaliną ma być opinia publiczna. P. E. Bovet, obdarzony wielkim oratorskim talentem, nawoływał, by nauczyć dzieci widzieć ohydę wojny i cenić każdą organizację, zmierzającą ku zachowaniu pokoju. Jeśli nie można obudzić w dzieciach miłości dla wszystkich ludzi, to przecież można wywołać współczucie dla nieszczęścia. Jabym — mówił p. Bovet — zamiast teoretycznych wykładów, dawał dzieciom np. takie zadania arytmetyczne: Gdyby wszyscy polegli w wojnie ustawili się w szeregu po 4 i przechodzili przed nami miarowym krokiem, o przeciętnej szybkości — wiele czasu musieliby tak przechodzić? I gdyby dzieci wyliczyły, że 80 dni i nocy bez przerwy, to prędkoby tego nie zapomniały.

Przemówienia obydwóch, choć pełne głębokiej, opartej o znajomość sprawy, treści, przedewszystkiem działały swą płomienną wiarą w znaczenie dobrej woli człowieka. Mieliliśmy przed sobą apostołów nowej wielkiej idei! I pozostała po ich głosach nowa natarczywa myśl, że może przecież za mało dotychczas wszyscy chcieliśmy przeciwstawić się złu!

Przerwę obiadową wykorzystaliśmy dla przyrzeczenia się miastu, dziwnie spokojnemu i cichemu w porównaniu z naszą hałaśliwą stolicą. Natura okazała się łaskawą dla żądnych jej piękna dalekich przybyszów i ubieliła śniegiem, ozłociła słońcem wspaniałe kontury królującego Mont-Blanc.

Poobiednie posiedzenie, przeniesione do sal szkoły chemicznej, poświęcono zagadnieniu Międzynarodowej Korespondencji Szkolnej. Jest to organizacja dość rozwinięta zagranicą, zwłaszcza w Czechach, których doskonały propagandowy film był zademonstrowany Kongresistom. Korespondencja międzyszkolna, zawiązywana między dziećmi tego samego wie-

ku różnych narodowości, połączona z przesyłaniem sobie upominków, w postaci fotograficznych widoków, rysunków, pieśni ludowych i t. p. (organ. t. zw. Czerwonego Krzyża Młodzieży), oddaje nieocenione usługi przy nauczaniu geografji, umożliwia bliższe zaznajamianie się narodów, wpływa na międzynarodowe zbliżenie. I u nas akcja ta była zapoczątkowana, nie przybrała jednak dotychczas szerszych rozmiarów. Wieczorem przyjęcie w palais Eynard, urządzone dla gości przez miasto. Znużenie, wywołane przez długi szereg okolicznościowych przemówień przedstawicieli wszystkich narodowości, gdzie oratorskim patosem wyróżniali się francuzi — (może dlatego, że przemawiali we własnym języku) — rozproszyło się przy zastawionych gościnnie stołach. Spacer przy blasku księżyca, wśród ślicznych uliczek, tonących w tajemniczym cieniu ogrodów, do dalekiego, położonego nad wodospadem Arwy, hoteliku, gdzie się większość przybyszów zatrzymała, zakończył pierwszy miły dzień.

Atrakcją dnia następnego było zwiedzenia Sekretariatu Ligi Narodów i Międzynarodowego Biura Pracy. Należała się ta nagroda wobec bardzo pracowitego przedpołudnia, gdzie po referatach p. A. Ferrière, omawiającego organizację Międzynarodowego Biura Nauczania w Genewie i p. Prudhommeaux, nadzwyczaj wyczerpująco przedstawiającego sprawę kontroli nad podręcznikami, aby nie zawierały walszywych, podsycających nienawiść narodową, wiadomości, nastąpiła dyskusja nad wnioskami. Oczywiście, że osiã dyskusji musiało być zagadnienie ustosunkowania międzynarodowego pacyfistycznego ideału do terażniejszych narodowych wymagań. Nauczycielstwo potrafiło nie dać się porwać utopijnym dążeniom ku natychmiastowemu realizowaniu dalszych celów ze szkodą bliższych, potrafiło zostać na praktycznym życiowym gruncie, nie tracąc z oczu przewodniej gwiazdy — ideału. Wyraziło dobrą wolę, by wziąć na siebie trudne zadanie przyspieszenia, w miarę możliwości, wytworzenia się nowego typu człowieka — człowieka obywatela własnego narodu i świata całego jednocześnie. To właśnie wyrażone jest we wniosku, przyjętym przez Kongres, nie odbierającym historii i geografji narodowej pierwszego miejsca w nauczaniu (p. 2), a kładącym jednocześnie nacisk na konieczność wyświetlania roli, jaką obecnie

odgrywają urzędnia międzynarodowe, zwłaszcza zjawiska natury ekonomicznej, oddając i Lidze Narodów to miejsce, na które przez swą działalność i znaczenie zasługuje. Lekcje geografji narodowej powinny się przyczynić do obudzenia w uczniu świadomości stałego kontaktu gospodarczego, w jakim się każde państwo z innymi znajduje.

Powzięcie rezolucji kończyło właściwe zajęcia Kongresu.



Jednak zamknięcie oficjalne miało nastąpić dopiero w Grenoble, aby nie odmówić gościnnemu zaproszeniu francuzów, którzy chcieli przyjąć kongresistów w tem mieście, gdzie pobiera wykształcenie tyle obcej młodzieży, i gdzie wyższe uczelnie mogą służyć niejako za symbol międzynarodowej organizacji ducha ludzkiego. Zanim opuściliśmy Genewę, usłyszeliśmy jeszcze, skierowane do nas na oficjalnym przyjęciu w Sekretarjacie Ligi, słowa sekretarza generalnego sir Drummond'a, wyrażającego wiarę Ligi Narodów w pomocność nauczycielstwa przy szerzeniu jej ideałów. Przyjrzelśmy się pracy biurowej w cieniu rozłożystych drzew ogródka przy zbyt ciasnej siedzibie Ligi. Radzą sobie, jak mogą, zanim stanie nowy gmach, godny międzynarodowej organizacji! Taki właśnie pałac składkowy mieści Międzynarodowe Biuro Pracy, gdzie każdy szczegół wewnętrznego ozdobienia jest darem innego państwa. Jednak, choć miłego wrażenia doznawaliśmy, oglądając obrazy, gobeliny i rzeźby, to jednak najsilniejszym wspomnieniem pozostało przemówienie Prezesa Biura, znanego działacza socjalistycznego Francji, Ministra Alb. Thomasa — który w gorących słowach przedstawił zadania i działalność Biura. Odpowiedział mu w imieniu Kongresu

nasz przedstawiciel p. Kwiatkowski. Wieczorem — reprezentacyjny pokaz u słynnego J. Dalcrose'a. Była to już ostatnia uczta duchowa, którą poczęstowała nas gościnna Genewa.

Na drugi dzień zaznaliśmy ciężkich męczarni żywego ognia w wagonach, wiozących nas do Grenoble. Zwiedziliśmy po drodze dawną stolicę Sabaudji, m. Chambéry, zasługujące przez swój specyficzno-architektoniczny charakter, piękno położenia i związek z życiem wielkich ludzi, jak Rousseau, i J. i X. de Maistre, na dłuższe wspomnienie. 27 sierpnia w Grenoble, w ogromnej amfiteatralnej auli, po brzegi wypełnionej młodzieżą, jeszcze raz zabrzmiały z Prezydium słowa zachęty do współpracy nad trudnym zadaniem budowania, przy pomocy oświaty i nauki, lepszego jutra. Kongres został zamknięty. Kongresieści w otoczeniu młodzieży, każdy w bliższej grupce, ucieszonych przybyciem rodaków, studentów swej narodowości, serdecznie się żegnali do przyszłego roku w Bukareszcie.

Nie trzeba, chyba, dodawać, że jaknajliczniejszy udział polaków w kongresach jest ze wszech miar pożądanym. Znajmy świat, a przedewszystkiem — niech świat zna nas.

H. M.



C. W A L E W S K A

7

## ZRÓŻNICZKOWANIE SIĘ TYPU KOBIECEGO PO WOJNIE

MĄDROŚĆ CZY POKORA? — (O KLUCZ DO WSPÓŁŻYCIA).

Z cyklu: „O kobiecie dzisiejszej — głosy kobiet“

„Większa część życia upływa jednostce w stosunkach prywatnych i tu, w tem prywatnym jej życiu, w stosunku do rodziny i najbliższych przyjaciół kryją się te drobne, co chwila wybuchające, nieporozumienia, które, nigdy nie wyrozumiewane — sumują się z czasem w ogrom nieszczęścia“ — pisze Stanisław Czosnowski<sup>1)</sup>.

Tak. Ze sprzeczek o niedopałek papierosa, rzucony na podłogę, o kwadrans spóźnienia się na obiad, o stół, ustawiony tak, a nie inaczej, o przesolone, lub niedosolone kartofle, o zapomniany, lub źle kupiony sprawunek, o niedocenioną wartość jakiejś drobnej przysługi — powstają góry żalów, skarg, wyrzutów — pierwsze rafy podwodne, o które potyka się żeglarz nieopatrzny.

<sup>1)</sup> Homo homini lupus — art. wstępny „Bluszcz Nr. 2 z 1927 r.

Z drobnych muszelek wyrastają śmiercionośne rafy. Małe, głupie sprzeczki są jak te narastające muszle i kamyki, które mają w sobie dech śmierci.

Dobra wola, wyrozumiałość, życzliwość, pragnienie szczęścia wzajemnego mogłyby być tym przelewającym się równo, łagodnie, stale prądem, który strzeże od zatorów i namulów. Ale — o życie! — gdzie ich szukać?

Mówią, — o zasadę, o dogmat, o wytyczną spraw programowych tylko może rozbić się wspólnota ludzi, sobie oddanych.

Niedopałek papierosa, rzucony na ziemię, to też sprawa programowa ładu, porządku, bez których rdzewieją i rozpadają się koła, kółka, kółeczka machiny domowej. A czyż dobrem słowem, prośbą, kochającym spojrzeniem nie można oduczyć złych przyzw-

czajeń? Są twarde upory, są nawyki nie do przewyciężenia, są megalomanje, jest bezrozum nie znoszenia uwag, jest zabójcza nieustępliwość, są kaprysy, obrazy o byle co i raczej rzucenie szczęścia na szalę, aniżeli przyznanie słuszości nawet komuś bardzo drogiemu, nawet komuś jedynie drogiemu.

„Nie podoba ci się, możemy iść każde w swoją stronę“...

Jeżeli jest wielka miłość, albo, jeżeli jest cel, wymagający ofiary ustępstwa, jedna ze stron — powiedzmy, silniejsza zrozumieniem irracjonalności uporu, zrezygnuje z wymagań swoich. Całe życie będzie zbierała ciskane na podłogę niedopałki. Zgarbi się, zegnje ku ziemi, zgasi w sobie iskierki marzeń o czarującym rytmie wędrówki we dwoje, — ale — gdy wybije godzina, powie sobie: „Zrobiłam, co było w mojej mocy. Mogę odejść.“

Częściej ustępuje kobieta. Jednak — bywa... Tylko mężczyzna robi to inaczej. Po pierwszej, drugiej, trzeciej nieudanej próbie przeprowadzenia „swego“, ucieka z domu. Staje się gościem i nie zasiądzie już przy lampie wieczornej. Ludzie powiedzą o nim „mądry.“ Zbieraczkę niedopałków nazwą „pokorną.“ Bo jakżeż całe życie czołgać się w jarzmie ustępliwości?

Matko, dawna matko, ty jedna umiesz powiedzieć, dla kogo, dlaczego to robiłaś? Jak zacinałaś zęby, żeby trwać. Jak wypłakałaś oczy w trosce o swoich, o wypielęgnowanie ciał i dusz, za które stałaś się odpowiedzialna przed Bogiem, światem i ludzmi. Matko, ty, która rozumiesz swoją ofiarę i ty, która ponosisz ją przez instynkt konieczności, jest w pokorze waszej mądrość i godność stania na straży więzadeł rodziny, którąście stworzyły, czuwania nad człowiekiem, którego chcecie dać społeczeństwu, wychowania go w ciepłe skrzydeł waszych, żeby promieniował niem i czerpał z niego modre światelka, gdy was już nie będzie. Matki — dziś obywatelki narówni z ojcami waszych dzieci — dawne ciężary zwiększyły się na waszych barkach, bo umiejętnie, konsekwentnie przekonywując krok za krokiem — uczyć musicie mężów waszych współżycia. Żeby nie jedno tylko zginało się w mozole drobnych ofiar. Żeby nie jedno tylko trwało na straży domu, a drugie zatrzaskiwało drzwi za sobą i przy stole wspólnym było, jak obce.

Liczy się dziś z tobą mąż twój, współtowarzyszko pracy, współkarmicielko rodziny, bo bez ciebie nie uradziłby brzemieniu swemu. Więc prawo i meta ustępliwości jedne dla obojga. I skala wymagań równa. Brużdzą stare nawyki. Bruździ nieprzystosowanie do dni nowych. Ale powoli, powoli, w rytmie współczesności, zrodzą się wzory współżycia.

\* \* \*

Dziela męża i żonę różnice upodobań. Jedno lubi się bawić, stroić, bywać w świecie, podróżować, drugie — nie. Jakżeż żyć zgodnie? — Zostawia się sobie swobodę, albo — rezygnuje — jedno na rzecz drugiego, z przyjemności swoich.

Ale — jak iść razem, gdy po miesiącach, czy po latach upojeń wybucha piekło różnicy przekonań? Jak żyć pod jednym dachem dwojgu ludziom, z których każdy chce służyć innym celom, innej idei? Jeżeli między nimi staje dogmat?

Połączyła ich ślepa miłość. Gdy spadł z oczu różowy omam i klinem wbiły się w dusze przeciwstawne prawdy i, jak błyskawica, padło zrozumienie tragicznej zawory, warknął zgrzyt. Jakżeż go uciszyć?

Jedno wierzy głęboko i wypełnia praktyki religijne, drugie śmieje się z tego cynicznie. Jedno płomień altruizmu ma w sobie, drugie nieuleczalny egoizm. Jedno pali się głodem poświęceń i rwie do boju o dobrą sprawę, drugie — prężną siłą woli i kazuistyką argumentów broni się od tego.

Jak żyć razem?

Wiara i altruizm płoną żarem prozelityzmu. Czasami zwyciężają. Jednak najczęściej — w żalu — po dniach walki — rozchodzą się indywidualności jednakowo silne, w zasadach swoich niezłomne, w drogowskazach własnych upewnione. Sumienie i twarda racja stanowiska nie pozwalają na kompromis. Milknie mądrość pokory i pokora mądrości. Niekiedy, niekiedy — przez wzgląd na dzieci — zachowywana bywa zewnętrzna forma współżycia. Ale rytm dusz nie wraca. Dzieci idą za ojcem, lub za matką. I wtedy walka — tragiczna, jak skrzyżowanie ślepych mieczy. A w młodych serduszkach, dla których dom rodzinny powinien być, jak biały sad wiosenny — pierwszy starczy rozdzwięk na całe, całe życie.

Jedyną mądrością rodziców nie dopuścić do niego. Ukryć, zaryć pod ziemię własne zgrzyoty.

\* \* \*

Jest w ludziach brak tolerancji. Jest dążność do uszczęśliwiania innych na swój sposób, naginania do norm, przez siebie ustanowionych, wciskania w formy, zgóry narzucone, gdzie kurczy się, maleje, wkońcu zanika lot samorzutny. Jest nieustępliwa właściwość przykładania dwóch miar — innej dla siebie, innej dla bliźnich. Jest przedewszystkiem nieuctwo psychiczne. Od zdrowej duszy żąda się tego samego, co od chorej, dotkniętej psychozą.

Chodzą po świecie półobłąkańcy, prawie nieodpowiedzialni za swoje czyny, tak zwani przez Lombroso matoidzi, dla których powinny istnieć wielkie odrębne skupienia. Są zastępy historyków i historyczek o bujnej umysłowości, szlachetnych często porwach, bystrej intuicji, rzutkiej inteligencji, ale targanych wewnętrznym niepokojem, nadwrażliwych, impulsywnych, a przez to nieobliczalnych w czynach swoich. Idą za podszeptem głosów, które rzucają im nagłe, bezapelacyjne nakazy. Zachłanni, nie uznający oporu, dziś czczą bałwochwalczo pewną ideę, czy pewnego człowieka, jutro depczą i odrzucają bóstwa swoje, jak zwałone kłody przydrożne. Nie wiadomo jednej godziny, co zrobią w ciągu drugiej. Pełna głowa zamierzeń, żadna rękojmia dokonań.

Męczą siebie galopem zmiennych wciąż monoidei, którym nadażyć nie może wcielenie. Męczą otoczenie terrorem zachcianek, wybryków, kaprysów swoich, które mają w sobie żelazną przemoc niesamowitej, bezrozumnej, ale nieustępliwej sugestji. Walczyć z nimi nie można, odejść od nich trudno. Szarpią się ludzie w ich sieci, jak owad w omotaniu pajęczem. Współzycie wówczas jest jednym łańcuchem twardej martyrologii, gdzie anormalna, chora jednostka karmi się, jak upiór, żywą krwią człowieka zdrowego.

Nauka o charakterach, zaiste, winna być podstawą szkolnego, pozaszkolnego, średniego, wyższego, nawet elementarnego nauczania. Klasyfikujemy rośliny, zwierzęta, kamienie, a o sobie nie wiemy nic, nic. Są psychologje, psychometrie, psychoanalizy, psychoterapije. Są dzieła o psychozie — teorie, głęboko przemyślane, na metodzie dedukcji, indukcji, czy też ścisłych doświadczeń oparte. Nie przenika to w tłum. Obcujemy z chorą duszą, a poddajemy się jej, jak zdrowej. Ciągnie nas w przepaść bezwolną, na dnie której dopiero poznajemy błąd.

\* \* \*

Wojna zniosła odporność ludzką na zwały i grudy współzycia. Siedem lat pod szrapnelami, w okopach, w morzu krwi. Siedem lat niepokoju o swoich najbliższych, najdroższych — żaloba, klęski moralne i materialne zrobiły z człowieka jakąś nadwrażliwą strzałkę, która kręci się wkółko za lada podmuchem i miejsca sobie znaleźć nie może, aż połamię ją wichry przeżyć ostatecznych. Kaleczą ludzie ostrzem strzałek jedni drugich — blizcy blizkich, drodzy drogich. Kąpią się w żywej krwi wzajemnej dokuczliwości. Sycą nerwy sadyzmem trujących żadeł. Każdy zabija człowieka, rzecz, stworzenie, które kocha. I każdy — poprzez

torturę biczowań, wyciąga ręce do chimery nieznanego szczęścia.

Poszarpały wichry sztandar dogmatów. Rozpręły się nakazy sumienia i woli. Świat pełen wrzawy, jazzbandu, zmienianych z dnia na dzień programów, hallo, hallo nawoływań, reguł, protestów, ale jak poprzez jałową pustynię tłucze się w nim dusza powojennego człowieka, ciągle czegoś szukając, nigdzie nie znajdując miejsca spoczynku.

Fruwają nad piaskami Sahary kolorowe motyle — erosy. Furkoczą, lśnią czarownie, jak gaje błękitnych zwidzeń. Schwyta dwoje ludzi motyla i zdaje im się, że są nieziemsko szczęśliwi. Ale nerwy nie wytrzymują pierwszej zewnętrznej, czy wewnętrznej potyczki. Nie wytrzymują, raczej nie chcą wytrzymać próby porozumienia. Nie zaglądają do ksiąg Mądrości, Pokory, Rezygnacji. Odchodzą od siebie, nie spojrzawszy za próg, który minęli i pędzą dalej po przez wrzawę jazz-bandu jałowej pustyni.

Znowu furkoczą motyle. Znowu łyskają mirażem radości życia. I znowu zawód, znowu zniecierpliwienie, znowu galop apokaliptyczny ku jakiejś jutrzni, która wciąż gaśnie.

Niema szczęścia bez ofiar. Pocałunek różowego motyla jest jak wampir, który żąda krwi. Krew daje się za wielkie kochanie, a taka ofiara ma w sobie rozkosz cierpienia.

Mądrość współzycia żąda rezygnacji, która nie jest zaprzeczeniem tego, co uważa się w sobie jako wartość najdosłojniejszą i na pokorze samowyrzeczeń, które zegną kark, ale wywyższą godność sumienia i sercu dadzą przystań — szarą dla oka, mizerną, smutną, jednak — od purpurowych płomyków bożego światła widną.

C. Walewska.

## TE, KTÓRE MILCZĄ O SOBIE...

CECYLJA WALEWSKA

Cichy, zimowy wieczór. Śnieg dużymi płatami miękko sypie się z nieba i pokrywa ziemię całunem spokoju i zapomnienia. Tęskna zaduma snuje się w powietrzu, opada z piórami zastygłych mgieł, przysłania jaskrawe światła ulicznych latarni, wnosi wspomnienie przestrzennych równin, realnie niemal oddając stuk siekier w borach, brzęk dzwonek sanek, zielone lśnienie wilczych oczu... Zima, zima...

Na sercu lżej, jakoby młodziej i radośniej. Pyszasty, biały całun. Mroźna, księżycowa noc. Brylanty szronów na świątkowych choinkach. Festony brzozywych gałęzi, okryte bogatym ciężarem puszystego, białego aksamitu. Znika rzeczywistość. Biel świata rozjaśnia cienie duszy. Rozpala się koral serca. Żywiej

krąży krew... Podnoszą się smutne oczy z nad ćwiartek rękopisu. Drobną dłoń odsuwa firankę. Wzrok wznosi się wgórę i schyla ku ziemi, wślad za śniegowym płatkiem. Składa go pieścizliwie na miękkiej pościeli, ku nowym światom górnym powraca.

W przelocie, coś purpurowego razi oczy, jakby nagły, świetny, lecz swą niespodzianą krasą bolesny blask. Jakaś gwiazda biała, podobłoczna, na smużce krwi tętniącej zastygła. Pani Cecylja patrzy na nią długo, długo, a jakiś płatek śniegowy roztapia się w jej źrenicach i błyszczy, jak kropla rosy...

— Ja? Ja, odznaczona orderem „Polski Odrodzonej”? Ja, która nigdy nie pracowałam na własny rachunek, dla własnej sławy, osobistego szczęścia... Ja,

siewca rozrzutny, wszystko oddający ziemi, nie pozostawiający dla siebie ani jednego ziarenka na głodne dni starości? To pomyłka. Pomyłka ciężka. Gorzki żart. Jest tyle innych kobiet... Bardziej zasłużonych, zajmujących wybitne stanowiska społeczne, naukowe, państwowe. Dlaczego nie one, a ja? Dlaczego ja?...

Od głębokich szafirów uspiionych nieb oderwał się duży, biały płatek. Leci, nieopatrznie leci wdół, goniec zaświatów, może anioł, strącony z wyżyn za grzeszną w obliczu wieczności miłość dla czarnej ziemi. Płynie za nim głębokie spojrzenie.

— Ostrożnie! nie łam Twych skrzydeł gołębic. Nie leć, motyłu zimy, w otchłań błota, pod złe, brutalne stopy. Kwitnij, płatkę rajskiej róży, w eterach, między niebem, a ziemią. Z wichrami leć, ku wyzynom, ku halom, ku szczytom. Nie padaj w topiel grzędawiska, nie.

— Czemu się zrywasz do lotu z wirchów przeczyszczonej zamięci, czemu, miast ulatywać wgórze, spadasz na padół płaczu i łez? Czemu?...

Za płatkim leci płatek. Coraz cichszy, lepszy świat. Zasypia ból, gniew, nawet rozpacz i zbrodnia. Nad rękopisem pochyla się drobna postać. Przędzie nic z serca, jak watek lniany na kołowrotku zwija, od chwil owych, dziecięcych, do dzisiejszych znojných dni... Aby młode pokolenia wyrastały silne, zdrowe, dzielne, aby choć one były szczęśliwe...

A ona, Anioł Stróż niejednego bujnego, płodnego, lecz wzaraniu wybuchającego i gasnącego narzemian, jak płomień, życia? A ona, pani Cecylja? Nikomu nic nie mówiła o sobie. Nigdy. Wiedzą o niej to, na co patrzyli własnymi oczyma, to, o czym zdołali nie zapomnieć wśród szarego dnia. Ułamki, fragmenty, okruchy. Bo czyż ona sama wie więcej? Czy liczyła ziarna, które posiała? Plony, jakie plony? Żadne ziarno nie wraca do ręki siewcy, bo siewca, Wielki Ofiarnik, daje, lecz nie zbiera. Kto inny korzysta z jego znojnęj pracy. I nie pamięta nawet, że gdy wszyscy spoczywali w śnie, w chłodny poranek wiosenny wyszedł na skiby, wprost w słońca, pracownik zbożny z płachtą białą, pełną perłowego ziarna, i że je siał równo, cicho, ofiarnie, niestrudzenie, nie dla siebie siał, ale dla śpiących...

Czy kobieta dzisiejsza, idąca drogą łatwą, bezpieczną, wie, ile głązów zawałało tę drogę w przeszłości, ile krwi wysączyło się z drobnych, miękkich stópek dziewczęcych, rwących się z klatek ku słońcu? Dostęp do wiedzy, równouprawnienie, wolność pracy zarobkowej — toż to myty, sny niewyśnione dla niedawnych jeszcze pokoleń.

Drogę, dziś równą wykuwały w twardej skale przesądów słabe, lecz wytrwałe dłonie. Kto im to pamięta? Kto z szacunkiem zbożnym trudy ich waży? Kto łzy ich liczy, wylane w męce, gdy sił nie stawało do zwalczania przeszkód? Kto, co ukończył polską już szkołę i jeszcze nieraz na nią narzekał, zrozumieć zdoła, co przechodziły serca dziecięce w rosyjskiej gim-

nazjalnej katordze. Prześladowanie mowy, wiary, ducha, dążność ku zabiciu ambicji i honoru dziecka, plugawy siew intryg i donosicielstwa. I naturalna reakcja przeciw gwałtowi. Tajne samokształcenie. Przeżywanie subtelnych wzruszeń przy czytaniu „Dziadów“, palenie wiecznego ognia czystych serc przed ołtarzem narodowej męki, pragnienie stopienia się bodaj w ziarno piasku w łonie fundamentalnych, cementowych spojeń gmachu Polski podziemnej. Nie uczenie się, ale przeżywanie Improwizacji, cierpienia za miliony. I mimo późniejszych przeżyć, pomimo chłodu trzeźwego otoczenia, przez całe dalsze życie pragnienie nieugaszone wiedzy, światła, cierpienia może...

Pani Cecylja dobrze zna te chwile. Pamięta je boleśnie. Dziecku, które już w dziewiątym roku życia zaszywało się w złotokłose żyta, by za ich ruchliwą, łoskotliwą, a wonną, a w chabry i maki tkaną falą snuć tęskne zadumy i filozofować samotnie na temat tajemnicy bóstwa, kazano uczyć się rosyjskiej modlitwy, „sławieństwa“, skażonych faktów historycznych i innych okropności pod żółtem z nienawiści okiem przełożonej i „kłasnych dam“. Nie chce myśleć o tych chwilach szkolnej katongi, gdy każdy miniony dzień, ba, nawet godzina i kwadrans witane były westchnieniem ulgi, że przeszły, przez małe dziewczątka, buntowniczego narodu córy. Więc, gdy minęło, gdy można było wyjść z piekła uczelni w życie, pobiegła wstecz, do źródeł polskiej wiedzy, do polskich nauczycieli filozofów i społeczników, do Krzywickiego, Marburga, Heilperna, Abramowskiego. By do zapamiętania się pić nektar wiedzy i iść niestrudzenie szlakiem zakazanym, więc świętym. W swej wiernej wdzięczności, zdobywany przecie własnym wysiłkiem i trudem promień światła, uważa zawsze za dar losu, za dług, który spłacić trzeba. I to, co zdobyła sama, oddaje innym ludziom, słabszym duchowo, mniej przygotowanym do życia, niż ona. Z jednej strony salon literacki, gdzie młodzi myśliciele i literaci spotykali się z gwiazdami owego czasu, niejednokrotnie, dzięki życzliwej interwencji obojga światłych gospodarstwa, wyrabiali sobie stosunki w świecie literackim, salon, skąd poraz pierwszy usłyszano nazwisko Reymonta.

Z drugiej strony—tajne nauczanie dziewcząt pracujących, prowadzone przez długie lata, zanim w 1905 roku udało się założyć pani Cecylji legalną (pozor nie) szkołę, która przetrwała lat dwadzieścia.

Leci płatek za płatkim. Jak tych dziewcząt tysiące, niedouczonych, nieświadomych, nieodpornych, co przeszły przez jej twórcze ręce, zamieniające je w robotnice mądre, obywatelki, świadome celów narodowych. Trud nad trudy. Przeszło pięćset uczennic rocznie. Program szkoły powszechnej. Środków żadnych, bo opłata 20 kop. miesięcznie, z której połowa uczennic bywała dla niezamożności swej zwolniona, nawet od tak drobnej kwoty, nie mogła być podstawą materialną



dla egzystencji szkoły. Pani Cecylja, z gronem najbliższych sobie duchowo współpracowniczek, umiała z rozbawionej Warszawy wyciągnąć różnemi imprezami dochodowemi środki na utrzymanie tej, tak pożytecznej, placówki społecznej. Każdy, kto urządza takie imprezy, wie, ile sił i zdrowia organizatorów umieją one pochłonać. Lecz szkoła trwa, rozwija się...

Nagły grom. Pan inspektor szkolny Afanasjew, we własnej osobie zakrada się do szkoły po to, by ją zamknąć za jej wysoki poziom i dodatnie wyniki pracy. Pan inspektor Afanasjew, upostaciowanie brutalnej siły bezprawia, gminne, tępe zwierzę, racicami deptające wypielegnowane kwiaty ducha. Sądził, że zamknąć szkołę, to złamać bunt w zarodku, to szkołę unicestwić. Ale pani Cecylja złamać się nie daje. Praca jej wraca znów pod ziemię, szkoła rozpada się na komplety, funkcjonujące sprawnie i jeszcze więcej twórcze, niż szkoła legalna. Szkoła trwa nawet wśród huków wojennych, by nazajutrz po wejściu Niemców do Warszawy, stać się szkołą jawną, niezakwestjonowaną. W 1925 roku—przechodzi wraz z personelem nauczycielskim do T-wa Kursów dla dorosłych.

Ile sił, czasu i energii pochłonęła pani Cecylja ta praca, jednocześnie kulturalna i bojowa. Ile osobistych wyrzeczeń... Kto je porachuje?

Oczy podnoszą się wgórze, jakby licząc płatki śniegowe. Spadają z nieba na ziemię. Gina, zda się. Lecz niech słońce otworzy złociste oko, porwą się wgórze oparem i polecą w błękity. I łączyć będą ziemię z niebem, wznosząc się i opadając po wieków wiek.

Czy zginęło choć jedno ziarenko? Nie. Matka pracownica dziecku swemu opowie o latach swej nauki i uczyć je będzie z kolei o szczęściu, jakie ono, dziecko, posiada, mając możność nauki w ojczyznej szkole radosnej...

Niś się wywija z kłębuszka. Śnieżna kula, tocząc się zgóry, urasta do potężnych rozmiarów. Wychowanki szkoły źle są przygotowane do fachu, jaki uprawiają. Będą zawsze wyzyskane, zależne. Trzeba się niemi zająć, nauczyć rzemiosła. Apel do ludzi dobrej woli. Powstaje Towarzystwo Zawodowego Kształcenia Kobiet, prowadzące własne Kursy handlowe dla praktykantek handlowych, dające stypendja kobietom, kształcącym się zawodowo. Lecz co z zarobionego grosza kobiecie, skoro zawsze jest małoletnią wobec prawa. Zarobkiem jej rozporządza ojciec, potem mąż. Ile bezsilnej, bolesnej targaniny. Trzeba wznieść sztandar równouprawnienia. Więc praca w Związku i Stowarzyszeniu równouprawnienia Kobiet Polskich, w Komisji do spraw kobiecych przy T-wie Kultury pol-

skiej. Praca wydawnicza, szeroko rozplanowana. Gromadzenie statystyki, ankiety, organizowanie kobiet.

Przewodniczenie takiej pracy nie jest synekurą. Pani Cecylja nie zna wytchnienia. Dzień przestał być jej własnością. A przecie nie wszystkie kobiety można zgromadzić przy sobie. Gdzieś — drzemią dusze dziewczęce, szamocą się dusze młodych kobiet, o jakież mury biją skrwawione z wysiłku umysły. Pociągnąć je, i te z salonów, i te z garderoby. Wyprowadzić na słońce. Dać im cel. Zbratać w jakimś ogólnym dążeniu. Nie dopuścić do marnotrawstwa sił społecznych. Więc publicystyka. Walka z dyletantyzmem kobiety, propaganda jej przygotowania zawodowego.

Jak śnieżne płatki, lecą ku niej setki ćwiartek, wyrwanych z udręczonego serca. Pisze, poucza, radzi, wskazuje. Ujmuje w ramiona i wyprowadza na właściwą drogę. Podtrzymuje pierwsze kroki. Ułatwia pracę. Ściera kanty pierwszych spotkań ze światem. Ona, zawsze ona, zawsze niestrudzona, nieznaną, lecz gdy poznana i odczuta, to pokochana ogromnie.

W odrodzonej Polsce pięć lat pracy w Min. Pracy i Op. Społecznej w referacie służby domowej. Niejako dalszy ciąg jej pracy publicystycznej i społecznej, znanej ogółowi z „Dziennika Marcysi“.

A praca literacka? Dwadzieścia tomów, pełnych myśli zdrowych, subtelnych odczucia kobiecej duszy, głębokich refleksyj. Bujna wyobraźnia. Polot poetycki. Głęboka wiedza. Harfiany ton. A ileż słów niewypowiedzianych, ile iskier zgasłych, ile niewyspiewanej harmonji... Dla was to, kobiety polskie, złote pióro zamieniło się w rylec snycerski, by z zimnej grudy rzeźbić dusze i zbroić je w moc...

A dla siebie, dla siebie co? Przecie rozlecą się z wichrem życia białe śnieżynki. Popłyną z falą, lub wgórze się wzbiją, ku słońcu. Kto zachowa pamięć o ukochanej marnotrawczyni. Kto?

Świat cichy, spokojny, jasny pod całunem śniegu. Ucichło wszystko. Śpi... Pani Cecylja patrzy w białą noc. Jak kropla krwi jej serdecznej orderowa wstążeczka. W Krzyż Polski odrodzonej, skryształizowany jej tyloletni, ofiarny czyn...

Jakaś łza zradna gasi źrenic zar. Jakaś łza...

Bo oto — świt wstaje z za chmur, słońce wznosi ku sobie w lekkich oparach roztopione płatki śniegowe, by je rzucić w wieczory upalnych dni letnich, brylantami ożywczych ros.

Bo wolno, ale potężnie, ale świadomie, ale niestrudzenie idzie wiosna, budząca do pracy twórczej cały świat.

R. Z.



## PIERWSZE GWIAZDY

Pomnę. Było to zimą. Pod szczyty srebrnymi  
 Zeszliśmy się bezdomni, samotni i niemi.  
 Zadumana ku głowie schyliła się głowa  
 I dłonie w uścisk mocny zwarły się bez słowa.  
 Dobrze nam było spocząć na skalnej przełęczy.  
 Wsłuchanym w górski potok, co po żwirach brzęczy,  
 Do połowy w lód skuty i wolny napoły.  
 Czuwały nad nim świerki, białe jak anioły.  
 Wokoło była cisza. Wtem nagle w dolinie  
 Zerwało się coś w śniegach, podobne łupinie  
 Orzecha laskowego i gnało po stołu,  
 Rosnąc, pęczniąc, dymiąc, olbrzymiejąc w oku.  
 Potworny ślimak, tocząc muszli kręte zwoje,  
 Zdawał się chłonać niebo, góry i nas dwoje.  
 Tak pośród martwej ciszy, co krew w żyłach ścina,  
 Do stóp naszych milcząca sunęła lawina.  
 A my bez cienia trwogi, myślą skuci jedną,  
 Szukaliśmy na niebie gwiazd, nim we mgłach zbledną.  
 Dziś słońce lód stopiło i wypiło śniegi.  
 Dusze nasze światłością nalane po brzegi,  
 Jak zbyt pełne puławy ku sobie się chylą.  
 Wszystko jest pędem, lotem, błyskawicą, chwilą,  
 Co jak orlica waży się w odmiecie słońca,  
 Nad wiankiem rozżarzonych turni kółująca,  
 I puchy zmierzchu gubi na próg skalnej bramy.  
 Gdzie spleceni uściskiem, pierwszych gwiazd czekamy.

## NOC ZIMOWA

Jednak wicher halny huczy nam w poddasze,  
 I jednakże są myśli i pragnienia nasze.  
 Ja usypiam z obrazem twoim pod powieką.  
 A ty mnie we snach widzisz bezbronną, daleką.  
 Ja ciebie w mroku szukam, ty się garniesz do mnie.  
 Każde z nas drogą głowę tuli nieprzytomnie.  
 Spalonemi tęsknotą całujesz mnie usta, —  
 Piersią na mojej piersi, — i w komnacie pustej  
 Dwa serca biją zgodnie, jako dwa zegary,  
 Których w porę nie zdążył wstrzymać dzwonnik stary.  
 A gdy do twego okna siwe zajrzy rano,  
 Jeszcze mnie całą we łzach pieścisz rozkochaną,  
 Jeszcześ się z moich objęć nie wyrwał szalony.  
 Choć już dawno na jutrznię grały srebrne dzwony.  
 Tak co noc, obłąkani w złud krętym parowie,  
 Należymy do siebie, smętni kochankowie.  
 A kiedy się przy słońcu spotkamy, na jawie  
 Jesteśmy znów spokojni, obojętni prawie.  
 Tylko każdy ukradkiem i podstępnie bada  
 Ciebie przekochanej nocy na licach sąsiada,  
 I z zimną zaciekłością tropi świeże ślady  
 Pocałunków tak dzikich, jak strofy ballady.  
 A skroś spieczone usta nie chcą przejść nam słowa,  
 Od których pierś zamiera i pali się głowa.  
 Każdy wraca do domu, jak zwierz do swej nory,  
 Tając zatrutą ranę w głębi duszy chorej,  
 Oszczep, którego wyrwać nie chce i nie może.  
 I w milczeniu padamy na samotne łoże,  
 By z sercem rozbolałem, z gorącą głową  
 Prześnić w objęciach mary długą noc zimową.

HELENA CEYSINGERÓWNA

8

## JAK SŁOŃCE SPIJA ROSE

(Opowieść)

— Zasłoń okno! — rzekła Lotka — niech mnie tu nikt nie widzi!

— Niema nikogo. Tu nikt nie podchodzi. Jeszcze w taką noc!

Zasłoniła jednak posłusznie okno fartuchem, a potem, nie pytając o nic, podsunęła krzesło do stołu, prosząc, by panna zajęła miejsce.

— Zmarzła panienska! Akurat jest gorące mleko... Ale Lotka nie chciała pić.

Przysiadła na łóżku i pociągnęła ku sobie Ksenię.

Siedziały tak jakiś czas w milczeniu, przytulone do siebie, a serca obu były mocno. Wreszcie szeptem rzekła Lotka.

— Wiesz, tam u nas znów mordownia! Ludzi im za mało! Dobytek wszystek wygnali na pola i głodzą krowiny chłopskie już trzeci dzień!

— Bydlątka?!

— No tak! Uderzyli w najczulszą strunę chłopskiego serca! Znałszy dusz! Myślą, że ich tem złamią. I zaprawdę, serce się kraje! Ale i ludzi siekają. Gołowiński się wściekł poprostu! Sam, własnymi rękami...

— Panienska była, widziała?

— Nie. Wróciłam dopiero co z Konopnicy. Już nie miałam siły!... Do ciebie pognęła...

I znów milczenie. Lotka płakała zcicha.

Wtem podniosła się, wyprostowała i cichym, ale nakazującym głosem spytała,

— Pamiętasz, co ci mówiłam ostatnim razem?

Ksenia patrzyła w nią płomiennymi oczami.

— Pamiętam...

Przysiadła znów na łóżku i, objawszy Ksenię w pół, mówiła zcicha.

— Coś mu dać takiego w winie, w wódce... żeby nie umarł odrazu... na miejscu... ale powolnie chorzał, długo... żeby już nie mógł pastwić się... żeby na innych padł strach... że to niby kara Boża...

Zły uśmiech wił jej się po ustach.

Ksenia nagle przeraziła się tych słów.

— Ja, panienko, nie jestem na takie rzeczy znająca... ja nic nie wiem...

Lotka opuściła głowę, zniechęcona.

— Więc, powiedz, co robić?

Co robić?

— Możeby do Ojca Świętego napisać takie proszenie?

— Ojciec Święty daleko! Wojska nie ma, na tych zbrodniarzy nie przysła!

— Może do cesarza? Cesarz chyba nie wie, co oni tu z ludźmi wyprawiają?...

— Cesarz sam kazał: To jego wola! Jego „najwyższe ukazy“!..

I nagle, zasłaniając twarz, zanosła się strasznie, głuchym łkaniem.

— Niema dla nich ratunku znikąd! Znikąd pomocy! Siła nad nimi zła i nic więcej!

Ksenia wstała.

— Panienko, klękę się na Pana Boga, że ja nie wiem i nie umiem nic, ale jeśli taka będzie wola Pana Jezusa, ja się dowiem...

— Dowiesz się? Od kogo?

— No, nic! Będzie, jak Bóg Miłosierny zechce. Jeśli wolę Swoją najświętszą objawi...

— Ach, co ty tu mieszasz Pana Boga? — z niesmakiem rzekła Lotka.

Kseni zapłonęły oczy ognistym żarem.

O panienko, tak mówić nie wolno! Wszystko od Pana Boga! I śmierć, i życie! Pan Bóg słałbiutkiej roślince dał siłę leku i Pan Bóg dał drugiej siłę śmierci. Wszystko od Niego! Jak On zechce, to ten kat skoła!..

W tej chwili było w Kseni coś niesamowitego. Poraz pierwszy odczuła w niej Lotka tajemniczą siłę i zamilkła.

A w Kseni opadły już wezbrane nagle moce duchowe, i była znów cicha, grzeczna, spokojna, jak zawsze.

— Panienska się położy na moim łóżku i prześpi. Błada panienska bardzo i znużona.

— Nie, nie! Nikt nie może wiedzieć, że ja tu byłam... Przysięż, że nikomu nie powiesz, nigdy!

— Nigdy! powtórzyła Ksenia, i wyjąwszy krzyżyk srebrny z za koszuli — Na Pana Jezusową mękę przysięgam!

— Dobrze! A teraz, dawaj konia!

Z siodła już rzekła jeszcze Lotka.

— Jutro przysła po ciebie sanki. Wybierz się na dłużej! Będiesz miała huk roboty! — I pognęła w ciemność boru.

Po odjeździe jej Ksenia zgasła światło i ukłękła do pacierzy.

Rozjaśniło się teraz na świecie. Śnieg przestał padać, tylko wichur gnał po niebie różowo-złote chmureczki, przesłaniając niemi czasem tarczę księżycy, czasem zasię rozganiając je po niebie nikle, drzące, powiewne, jak duchy... A dołem chwiały się czarne olbrzymy boru i grały konarami uroczyste harmonje; w nieznannej mowie śpiewały hymny tragiczne, przedwieczne...

Rozelkana, rozmodlona dusza Kseni zrywała stopniowo więzy, łączące ją z ciałem, odchodziła...

Wichry grały...

VI

... weszła Ksenia w prastary, mroczny bór... od gęstości drzew, jakby noc była... pnie potężne, okiem niesięzone!.. nigdy Ksenia takich nie widziała drzew, ani była pod takim nieprzeniknionym dachem z igieł i gałęzi... wilgoć czuć wielką... i roztopioną żywicę...

... idzie Ksenia lekka stopą, niby duch, a przed nią idzie ona druga, ino że wyższa i przezroczysta, nikiej para... Prowadzi ją jakąś ścieżką ubitą, błyszcząca; pnie drzew, jakby ustępowały im z drogi, tak ta ścieżyna wije się między niemi... idą, idą wciąż przez ten las... a ciemność coraz większa, coraz grubsza, czarniejsza coraz, ino że to, co przed nią idzie, świeci całe sobą, nikiej miesięczek bledziuski, ale je dobrze znać poprzodku... ani się obejrzy, ani co powie... idzie prosto i świeci...



M. CRNJANSKI

## ŚWIĘTA PROWINCJA

w tłumaczeniu M. Znatowicz-Szczepańskiej

Pan Pantaleon Popicz, burmistrz miasteczka X, przewany „Mrukiem“, wrzucił pięć kawałków cukru do kawy.

Siedział on samotnie w pokoju, z miną marsową, jak przystało na „cesarskiego“ urzędnika. Słowo „cesarski“ wymawiało się zawsze cicho, a słowo „urzędnik“ głośno, bardzo głośno.

Ranek dnia tego był dżdżysty, jak to się zdarza wczesną wiosną. Przed magistratem, po łańcuchach, rozpiętych na niskich słupach, skakały i ćwierkały wróble; nierad ich słuchał; zato więźniowie, wzdychający z poza czarnych krat głębokich podziemi, przyglądali im się z przyjemnością. Było jeszcze wczesnie i cicho w pokojach, a jednak pan Pantaleon Popicz, burmistrz miasteczka X, przewany „Mrukiem“, wiedział, że jego żona już wstała. Czuł żonę przez ściany. Gdy to sobie uświadomił, wpadł w złość. Wstał i zaczął się przechadzać wzdłuż i wszerz pokoju, w swych błękitnych, mocno zaprasowanych spodniach. Patrzył w ziemię, a że miał dziwnie małe nogi, więc przyglądał się z rozkoszą, jak zgrabnie stąpają w lakierowanych czółenkach. Przypasał złotą cienką szpadę i stanął w oknie, rozkoszując się ciepłem słońca Usłyszał dolatującą ze strychu piosnkę służącej: „Gdzieście, gdzieście, myśli moje“... Jego brzydkie, żółte, wilgotne oczy, puste, jak dwa wypite kieliszki, dziwnie zabłyśły. Poglądził pachnącą czuprynę i zamachał kapeluszem, który wiecznie gubił, a najchętniej zostawiał pod stołem. Przeszedł się znowu tam i z powrotem, drobnymi kroczkami, wysoko podnosząc swe szerokie ramiona. Stanął wreszcie przed

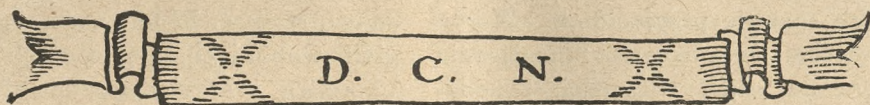
lustrem, obciągnął ubranie i szepnął: „e, Panto, jeszcze piękny“... Przez otwarte okno dały się nagle słyszeć śmiechy i gonitwa: to chłopak i dziewczyna z czeladnej pędzali kury, szczypiąc się i szturchając wzajemnie przy tej sposobności. Ten widok napełnił pana burmistrza wściekłością, nie znosił on bowiem służących na wiosnę. Kochał miłość i każdemu ją wybaczał, ale właśnie wczoraj natknął się na tę parę, splecioną w uścisku między podwójnymi drzwiami. Z jednej strony drzwi znajdowała się izba, pełna strażników, z drugiej—jego własna kancelarja, a dwoje nieszczęsnych kochanków wybrało sobie miejsce na pieszczoty między czterema deskami! Jeden Bóg miłosierny wie, jak się tam mogli pomieścić... Niedarmo, widać, kwitły po lasach fiołki!

Pan burmistrz odwrócił się ze złością i odszedł od okna. I on miewał dawniej różne kochanki, przeważnie szwaczki i aktorki teatru ludowego, a kiedy był jeszcze całkiem młody—to i cyganki, grające na tamburynach. Teraz, coprawda, teatr też był przyjechał do miasteczka. Pan burmistrz cieszył się z tego, podśpiewywał i oblewał się pachnidłami, czynił to jednak skrycie i uśmiechając się, nie podnosił spuszczonej głowy. Gdy podwładni mu policjanci zajęli się myciem „sali balowej“ w hotelu „Pod Trębaczem“, on poszedł na targ czynić codzienną swoją powinność. Wybrał co najpiękniejsze sumy i sterlety i posłał je Helenie... Ach, ta Helena! Przewrócił nogą parę garnków, które mu się nie spodobały i mleko rozlało się po ziemi. Przeszedł koło popa i nie pozdrowił go. Proboszcz nie cierpiał burmistrza, nazy-

wał go pod sekretem „hyclem“, ale popadja, mała, okrągła kobiecina, na samo jego wspomnienie przy- mykała oczy, składała ręce, żegnała się i szeptała: „Joj, Mito, jaki to piękny człowiek!“

Tak, pan Pantaleon Popicz, burmistrz miasteczka X, przewany „Mrukiem“, był pięknym człowiekiem. Aktorki i szwaczki szalały za nim, a on zalecał się do nich po winnicach, po jarach nad Dunajem, a nawet, Boże odpuść, w zaśmieczonej sali posiedzeń, gdzie miękkie i szerokie kilimy zaścielały podłogę, a nie- szczęśny arcyksiążę Rudolf uśmiechał się ze swego portretu. Kiedy zaś przyjaciele burmistrza pozwalali sobie na wyrzuty, lub przytyki, on się uśmiechał, wzruszał ramionami i mawiał: „Et, fujara! Żołnierz nie przebiera“. To słowo „fujara“ było jakgdyby jego ucieleśnionem westchnieniem, odpowiedzią na wszystko, co go zabołało, oszukało, ucieszyło, wzru- szyło, lub zastanowiło. To słowo oznaczało, że wszyst- ko na świecie jest głupie, małe, puste i przemijające. Tylko kiedy kto wspomniał o śmierci, Popicz machał ręką i szeptał: „Trąba!“ I nikt się nigdy domyślić nie mógł, co oznaczała ta zmiana terminu.

Pan burmistrz szedł rynkiem, policjanci za nim, a coraz jakaś kobiecina zbliżała się i całowała go w rękę. Dzień był wilgotny i mglisty. Na rynku wa- lały się liście kapusty, co drażniło głowę miasta. Ujrawszy błyszczące talerzyki nad drzwiami zakładu fryzjerskiego, pan Pantaleon Popicz przyśpieszył kroku. Gdy wszedł, wszyscy rzucili się na jego usługi. Za- częto go mydlić bardzo powoli, bo wiadano, że tak lubi. Wydzierającego się w klatce nad drzwiami kosa szybko zakryto płachtą. Pan Pantaleon rozwalił się w fotelu, znużony i niewyspany. Męczył go kos, mę- czyła żona, męczyła Helena, irytowały krążące po magistracie dziwne jakieś plotki. Otrzymał był roz- kaz uczenia się po węgiersku, więc co rano, o św- iecie, kryjąc się wobec szelmowskich uczniaków, co się o tem zwiedzieli, chodził pan burmistrz tam i z po- wrotem przed gmachem magistratu i składał i ścisnął wargi, aby wymówić owo przekłete „ö“. Teraz, na- wpół leżąc w folelu, zmęczony i niewyspany, z tru- dem wiązał obijające mu się w głowie myśli, pod- czas, gdy fryzjer mydlił mu twarz bardzo powoli, tak, jak on to lubił. Po szybach spływał śnieg.



ZOFJA ŁOSIOWA

3

## ZUZANNA ZE STRZEMBOSZÓW OŻAROWSKA

### III.

Mysł, by w Lackiem ufundować przybytek po- kuty i modlitwy, coraz silniej wkorzeniała się w serce pani Ożarowskiej. Coraz starsza, bardzo właściwie samotna, poświęcona jedynie dobremu uczynkom, odsu- nęła się od świata i, jak pisze Ludwik Jabłonowski, „została zakrystjanką“. Rodziną jej stali się ubodzy. Ma jednak pewne trudności do przewalczenia. Jak wspomniano wyżej, powraca do Polski w r. 1853 mądra i dzielna kobieta, ks. Jadwiga Leonowa Sapie- żyna. Spędziła właśnie we Francji parę lat i tam za- poznała się z dziełem domów Miłosierdzia. Założone około r. 1820 przez Matkę Teresę Kondeau, Zgroma- dzenie miało na celu utrzymywanie domów dla osób lżejszych obyczajów, pragnących powrócić do życia normalnego. Było to pierwsze i, zdaje się do tej pory, jedyne Zgromadzenie duchowne, mające jako wyraźny cel opiekę nad kobietą dorosłą wogóle, a nad dziew- czyną złego życia wszczęłości. Do tego bowiem czasu były, co prawda, we Francji próby robione w tym kierunku, by kobietom upadłym zapewnić opiekę

i przytułek, już w r. 1618, bowiem, miłosierny mie- szczanin paryski Robert Monti oddał dom swój na ten cel, dom ten jednak pod nazwą Les Madelon- nettes, został w czasie rewolucji francuskiej obrócony na więzienie. Ten sam los spotkał drugi dom, po- wstały dzięki miłosierdziu prywatnemu, dom oddany przez „urodzoną Marję Bondeau — wdowę po imć Beauharnais de Miramon, referendarzu Izby. Przytułek ten pod wezwaniem św. Pelagji rychło został również zamieniony na więzienie. Istniał jeszcze jeden rzado- wy przytułek dla nierządnic. A to więzienie La Sal- petrière, gdzie od r. 1684 istniał oddział kobiecy. Regulamin z roku powstania zakładu przewidywał, że więzione „będą obarczone najcięższą pracą, jaką ze względu na swe siły wytrzymać będą mogły“ — i ze wolno je chłostać, oraz obcinać im nosy.

Oto jak opisuje historyk więziennictwa we Francji stosunki w tym „szpitalu“, bo taką nazwę (L'Hôpital) nosiło to więzienie: „Podziemia były pełne nieuleczalnych warjatek, okutych w łańcuchy, ściśnię-

tych w lochach niechlujnych i wilgotnych, do których powietrze dochodziło tylko przez drzwi, osadzone na wysokości rynsztoków, i które stawało się jeszcze bardziej niezdrowe w epoce wylewów Sekwany. Znalezione tam te nieszczęśliwe istoty, z ranami w rękach i nogach, wygryzionymi przez szczury! Czas i postęp, zmieniając nieco warunki tych więzień na lepsze, nie zmienił jednak tego faktu zasadniczego. Dla kobiety złego życia, choćby najbardziej chciała na drogę cnoty wrócić — miejsca nie było nigdzie — poza więzieniem, lub deportacją na którąś kolonję, np. do Cayenny, lub Guyany.

Takie były stosunki we Francji, podobne w Polsce. Nic więc dziwnego, że dzieło Matki Rondeau przyjęło się we Francji, gdzie znalazło rozległe pole działalności, nic również dziwnego, że księżna Sapieżyna zrozumiała potrzebę przeniesienia tego dzieła, wraz ze wszystkimi jego dobrodziejstwami społecznymi, na grunt Polski. W tym celu, zapoznawszy się napróżd sama w domu macierzystym Zgromadzenia, w Laval, z duchem, regułami i sposobem postępowania z pokutnicami, zakłada po powrocie do Lwowa dom Miłosierdzia. Domem tym początkowo kierowała sama, przy pomocy oddanych sprawie przyjaciółek. Wśród nich była pani Ożarowska. Dom lwowski Miłosierdzia napotykał początkowo na duże trudności. Przewszystkiem, jak się okazało, sama idea opieki nad pokutnicami spotkała się w społeczeństwie lwowskim z przyjęciem nieprzychylnym. Brano za złe księżnej, że w samym centrum miasta zakłada dom, który napewno czasem stanie się rozsądkiem wszystkiego złego dla miasta. Gdzie zgromadzono nierządnicę — nie zapewniwszy im więziennego nadzoru... i wszechwładna plotka bujała i rosła, szypiąc niechęcią wkoło zbożnego przybytku, gdzie praca szła zwykłym trybem.

Działa się rzecz zupełnie zwykła: z jednej strony niechęć konserwatywnego miasta do wszelkiej inicjatywy nowej, nieznaney... z drugiej zaś strony odruch faryzeuszowski społeczeństwa, które kipi oburzeniem

na kobietę samotną i shańbioną, choć ją niejednokrotnie samo, swemi urządzeniami, pcha w błoto

Ponieważ, jednak, nawet najbardziej wpływowe osoby we Lwowie niechętnie były dla domu usposobione, trzeba było nadać mu inną nazwę i oprócz pokutnic inne jeszcze dołączyć zadania. Zakład więc przyjął nazwę Opatrzności; obok pokutnic, które uważano za główny cel, podjęto się nadto opieki, wychowywania i nauczania osieroconych dziewcząt, zaprowadzono w zakładzie szwalnię, istniejącą do dziś dnia i szpitalik, prawdopodobnie ze względów zdrowotności miejskiej, odtąd skasowany. Chodziło obecnie o dwie sprawy: o nadanie zgromadzeniu lwowskiemu definitywnej formy, oraz o zapewnienie mu podstaw materialnych. Sprawy te łączyły się ze sobą ściśle, gdyż ówczesny arcybiskup lwowski, ks. Wierzchowski, oświadczył stanowczo, że nie potwierdzi reguł zgromadzenia, póki sprawa zaopatrzenia materialnego nie zostanie prawnie zabezpieczona. Księżna Sapieżyna dopomaga domowi stale, lecz doraznie, jest nawet gotową do zapewnienia niewielkiej, stałej renty, nie uczyni jednak takiej ofiary materialnej, by zgromadzenie mogło siebie i pokutnice stale utrzymać. W tem zastąpi ją hr. Ożarowska. Po długich wahaniach, po długich dyskusjach z księżną Leonową i arcybiskupem, pisze pani Zuzanna testament, którym cały swój ogromny majątek po śmierci zapisuje Zgromadzeniu Opatrzności, z tem wyraźnym zastrzeżeniem, że w pałacu w Lackiem będzie istniał dom dla pokutnic, tak swoje postanowienie motywując: „Dlatego zaś wszelkie inne, jakiegokolwiek bądź rodzaju, uczynki miłosierne bez wyjątku wykluczam i na ten cel święty cały majątek, od Boga mi powierzony, przeznaczam, że dla sieroty niewinnej jest jaka taka litość w świecie, dla występnej zaś, jako dla ofiary zepsucia tegoż świata, i właśnie też niestety, przez to samo od całego świata odepchniętej, znieprawionej i potępionej, niema już u ludzi żadnej litości, ani miłosierdzia. (c. d. n.)

W. M I Ł

## RAJ PANÓW JOWIALSKICH

(Feljeton)



rzeczytałam pewnego dnia w gazecie: wystawa kanarków, w gmachu Centr. Tow. Roln. otwarta od 6/I—9/I e t c.... Zaciekawilo mię to—poszłam poniekąd przez sentyment, bo i ja miałam kiedyś kanarka... Ach, co to był za ptaszek!... Ale nie rozkliwajmy się...

Nadole, przy drzwiach widniał barwny plakat, z wymalowanym jaskrawo kanarkiem wielkości sępa. Scho-

dy, wiodące na I-sze piętro do sali wystawowej, ozdobiono rzędem choinek. Pachniało i szumiało, jak w lesie.

A zgóry płynął stugłosy świergot ptaszęcy, również jak w lesie.

Wchodzę — z biletem i katalogiem w garści. W katalogu ponumerowane i posegregowane widnieją działy: „chów własny“, „chów powszechny“ — a przy poszczególnych numerach tych żywych ekspozycji

natów gdzieniegdzie adnotacja: medal złoty, medal srebrny, list pochwalny...

Ma się rozumieć, zaczynam szukać klatki, której mieszkaniac zdobył pierwszą nagrodę. Taka już ludzka natura, że lubimy zobaczyć nagrodzony obraz, usłyszeć renomowanego pianistę, przeczytać książkę, o której dużo mówią. Nic więc dziwnego, że i ja przedewszystkiem zapragnęłam przeczytać własnymi oczyma kartę z napisem „I-sza nagroda“, oraz zobaczyć i usłyszeć kanarka - laureata.

Odnajduję go. W ciasnej klateczce Maciuś-Zwycięzca siedzi, a raczej skacze z pręcika na pręcik. Jest to mały, szary, niepozorny ptaszeczek. Skacze, — pokręca głową, od czasu do czasu dziobnie ziarno siemienia, lub piasku, niekiedy ćwierknie cichutko. To jednak on, nie mylę się. Ten sam, który przed paroma dniami zwyciężył w turnieju śpiewaczym 399-ciu współzawodników.

— Jakże to się odbyło? — pytam przysadkowa tego jegomościa, który przed chwilą perorował ze znawstwem o hodowli, odmianach — i wogóle o szeregu spraw, związanych z życiem kanarczem. Ano, dowiaduję się, że ptaszki śpiewały kolejno przed komisją. Wszystkie? — Ma się rozumieć!

— Trwało to pewnie od rana do wieczora?

— Naturalnie. Z tego nawet powodu — (jegomość westchnął) — ominęła mnie pierwsza nagroda. Bo to, proszę Pani — przywożę moje ptaki o drugiej. A oni zaraz przed komisję! Każdy przecież wie, że kanarki najlepiej śpiewają zrana i pod wieczór, a o drugiej, to rzadko który. I w dodatku zmęczone, wystraszone... Ale co miałem robić! Poszły od razu przed komisję. No i naturalnie... Ten, o ten, z zieloną plamką na głowie...

Jegomość wskazuje klatkę palcem i ciągnie dalej głosem już mocno podniesionym:

— Z początku szło nawet niezle. Aż tu na szóstym tonie, jak mi nie utnie kiksa!...

— Kiksa? Na szóstym tonie? — pytam, niedowierzając uszom.

— Właśnie. I to mię kosztowało słono, proszę pani. Dostał, bestja o siedem punktów mniej, a byłby miał złoty medal, bo takiego kanarka, proszę pani, niema w całej Warszawie, ba, w całym kraju...

Sześć tonów... kiks... i tremal! Najwidoczniej — tremal! A wszystko razem do złudzenia przypomina turniej śpiewaczy, estradę; stronnicze sądy, słowem — ogromnie znane, ogromnie ludzkie sprawy.

Mój rozmówca widocznie się rozgadał. Miałam, zresztą, sposobność przekonać się, że wszyscy prawie hodowcy kanarków lubią mówić wiele i chętnie

udzielają objaśnień. Zaszłam na wystawę niemal przypadkiem, a siedziałam tam... 2 godziny! Przez te dwie godziny dowiedziałam się rzeczy niezmiernie ciekawych, ba, nawet imponujących. Objasniono mię, że taki a taki okaz kanarka ma bajeczne „wody“ w swym śpiewie. Że kanarki tak zwane „koroniate“ (z czubkami) są obecnie w niełasce u fachowych hodowców. Że dobry śpiewak kanarczy rozporządza skalą od sześciu do dziewięciu tonów, że cena takich „meistersingerów“ waha się od 50 do 200 (dosłownie, dwustu!) złotych, że...

Słowem, Kochane Czytelniczki, od owej chwili, od dnia, gdy byłam na wystawie, doszłam do przekonania, że hodowla kanarków wymaga wielkiej praktyki i wielkiej wiedzy fachowej. I że tej gałęzi wiedzy najchętniej poświęcają się panowie w wieku średnim. mniej więcej od czterdziestu lat wzwyż. Na sali, w której znajdowało się około 100 osób, jedyną przedstawicielką płci nadobnej byłam ja — i jeszcze jedna dama bez kapelusza, widocznie wierna połowica któregoś z wystawców, gdyż czyniła poniekąd honory domu. Może to był tylko traf, może później zjawilo się liczniejsze grono kobiet, żądnych zbadania, jak w naszym kraju rozwija się hodowla kanarków. W owym jednak czasie, powtarzam, na sali czarno było od męskich palt zimowych, błyskotliwie od łysin, a gwarno nietylko od ptaszęcego świergotu, lecz również i od dysput, prowadzonych z całą pamiętałością przez zgromadzonych znawców-amatorów, i znawców-hodowców.

Trzeba było widzieć te twarze wniebowzięte, te wąsiska sumiaste (a jakże!), poruszające się z przejęciem, te postawy zasłuchane i wzrok, wyrażający podziw, czasem zazdrość, (gdy śpiewał ptak konkurenta), a najczęściej z zadowoleniem wpatrzony w klatkę ulubieńca, że Maciuś zdrów, że nie stracił humoru, że mu transport i komisja koncertowa nie za szkodziły.

Wychodząc, usłyszałam fragment rozmowy:

— Bo to wkrótce, panie, zaczniesz się rzetelna robotą. Ja, panie, mam stoczerdziesięci samiczek... A nim się przygotowuje klatki... a nim się parki podobiera... A nim tego... a nim owego...

Osobnik, który się tak zawczasu troskał o przyszłe pokolenia swych wychowanków — przypominał mi kogoś do złudzenia... Ktoś znajomy, ktoś bliski... Ktoś, od lat dziecięcych zapamiętany... Aha, już sobie przypomniałam: szambelan, pan Jowialski junior, tak, tak...

Aż dziw, jak się od czasu Fredry nawet ani na jotę nie zmienił! Zawsze tak samo kocha ptaszki i zawsze ma pięćdziesiąt lat...





TEATR NARODOWY

„Zbójcy“ Schillera. Tragedja w 5 aktach, grana poraz pierwszy dnia 4 lutego 1927.

W porządnym, systematycznym pracach niemieckich profesorów, traktujących o literaturze niemieckiej z epoki klasycyzmu, pisze się zwykle najpierw o samym Goethem, potem o samym Schillerze, potem Goethe i Schiller występują razem, tworząc rodzaj literackiego duetu, zwłaszcza w głowach uczonych badaczy, gdyż dla zwykłych śmiertelników trudno dosyć doszukać się w tym duecie prawdziwej harmonji. Później od roku 1805 (śmierć Schillera) aż do 1832 r. panuje już niepodzielnie sam wielki olimpijczyk i hellen w najlepszym nowoczesnym wydaniu, czy reinkarnacji, ekscelencja von Goethe — „Nicht nur von den Göttern, aber auch von seinem Herrscher in den Adelstand erhoben“.

Jako pamiątka epoki, w której razem pisało się o Goethem i Schillerze, pozostały w licznych miastach niemieckich tak zwane „Goethe und Schiller Monumente“ — pomniki podwójne, przedstawiające zwykle tych dwóch koryfeuszów literatury niemieckiej w postaci ludzi, podających sobie nawzajem grube rulony papieru. Jak się domyślam, rulony te zawierają zapewne dzieła, napisane do roku 1794. Poeci z uśmiechem pobłażania ofiarowują je sobie w celu złożenia do skrzyni pamiątek i obiecują na przyszłość poprawę.

„Zbójcy“, napisani przed rokiem 1781 i w tym roku drukiem ogłoszeni, a wystawieni po raz pierwszy w Mannheimie w roku 1782-gim, wymienieni są w owym rulonie, który Schiller ofiarowuje starszemu Goethemu. A jednak... „Zbójców“ grać warto i dzisiaj mimo całą ich naiwność, mimo tysiączne śmieszności, które dziś już tradycyjnie należą do skarbnicy anekdot literackich i teatralnych. Grać „Zbójców“ należy nie dlatego, że na pierwszej ich stronie umieścił Schiller motto „in tyrannos“ — przeciw tyranom, których i dziś nie brak, niewiele zdziałać może. Grać ich należy dla ich walorów wewnętrznych, ukrytych — a jednak przedzierających się przez wszystkie naiwności do serca widza i słuchacza, dla tych wielkich walorów etycznych, dla wielkiej, bohaterskiej prawości, dla prawdziwej chęci wytępienia zła i zdobycia wolności, która przenika całą twórczość Schillera i czyni go, mimo formalne usterki, jednym z największych poetów i jednym z najczystszych duchów, jakich wydała ludzkość.

Przegniły mocno ówczesny świat, świat „oświeconego abso-lutyzmu“, który, zresztą swe filary podpierające gruntował w zupeł-nie słabo oświeconej kaście, znalazł tęgich przeciwników w filozofach francuskich z Voltairem na czele. Lecz francuzi nie prowadzili ataku. Znając sposób myślenia swych ziomków, rozumieli, że drwi-na, bon mot, złośliwostka lepszą będzie piłą i twardszym kilofem, niż wprost prowadzony napad. Schiller mówić musiał do ludzi prostoduszniejszych. Sam, zresztą, z nich wyrósł. Uderzył w ton serca, w ton zwyczajnej walki. Że jego słowa nie mają często tego znaczenia, którego dziś żądalibyśmy od poety, chcącego świat przemienić, warunkuje to nietylko ostra cenzura ówczesna, jak to się zwykle w podręcznikach literatury zaznacza, ale i własna Schillero-wa skromność. Skromność — która na ówczesne czasy była żagwią płonącą, rzuconą w świat porządku i ładu społecznego, świat zgniły i spróchniały. Prawość poetyckich intencji. Najlepsza wola po-wiedzenia ludziom prawdy — oto te walory, które z całej twór-czości Schillera biją w nasze serca i wywołują ich oddzwon.

Lecz kiedy przeniesiemy się myślą w czasy dzieciństwa, gdy się to w gimnazjum tych „Zbójców“ po zucholeczku czytało, gdy się musiało rozważać, dlaczego Franz Moor powiedział w trzeciej

scenie to, a w siedemnastej tamto, co to są „właściwie“ zbójcy, co zrobiła Amelja. Ach! nie mówcie mi o niej: Niedobrze mi się robi na samo wspomnienie tej nieszczęśliwej ofiary poetyckiego nierozumienia kobiet... Tak, wtedy „Zbójcy staną się zmorą i na cały czas swych przedstawień odpędzą człowieka od teatru. Dzieje się tu niesłusznie to samo, co z tym biednym Homerem, którego nienawidzi każdy gimnazjista. Lecz nie ufajmy zbyt nierzadym gimnazjalnym wspomnieniom i pamiętamy, że Homer jest jednak wielkim i, co dziś ważniejsze, bardzo zajmującym poetą. A także, że dzieci nasze nie są już brane na tortury Schillerowskie i dla nich właśnie „Zbójcy“ są doskonałym i bardzo kształcącym widowiskiem.

O wadach konstrukcyjnych „Zbójców“ nie ośmielam się pisać, bo od dziesiątków lat czynili to i czynią ludzie bardzo z literatury niemiecką obeznani. Oczywiście jest to — z czysto konstruktywnego punktu — zwyczajna, naiwna tragedia pomyłek. Lecz nie w tem wartość zbójców, a wad ich nie zechce spostrzec widz prawdziwie dojrzały i nie dostrzeże młodzież, na kinowych dramatach wychowana, gdzie głupota autora „tekstu“ walczy o lepsze z isticznie górdyjskim zawiązaniem, pełnego naiwności i skomplikowanej przestępczości — węzła. „Zbójcy“ — Schillera są doskonałym widowiskiem.

Teatralna strona dość banalna — co, zresztą, „Zbójcom“ wielkiej nie przynosi szkody. Reżyserja Trzczińskiego poprawna. Wogóle może zbyt wiele właściwie żądało się u nas z początku od tego reżysera, wprowadzonego na scenę stołeczną z przesadną i niepotrzebną reklamą. Pan Trzcziński jeszcze się uczy i prawdopodobnie wkrótce się nauczy być poprawnym zupełnie i zupełnie pewnym reżyserem zawodowym. Rewelacji od niego nigdy się nie spodziewałam i, muszę przyznać, że nawet z pewną ulgą. Bardzo się boję przerostu reżyserskiego kunsztu nad innymi w teatrze, nad tem wszystkim, co, od poety poczynawszy, przez aktorów, dekoratora, reżysera, maszynistę i inspicjenta (nie zapominać też o suflerze), dąży do tego, co nazywamy sztuką teatru.

Dekoracje Drabika są czasem piękne, ale w całości nierówne. Daje się to, niestety, coraz częściej zauważyć u tego znakomitego scenicznego malarza. Sądziłabym, że dla chwały polskiej sztuki dekoracyjnej, której chluba jest Drabik, dobrzeby mu zrobiło paromiesięczne oderwanie się od kłopotów, związanych z wprowadzeniem swych wizyj artystycznych na deski sceny i połączenie się z duchem zachodu i południa, ze słońcem, obcem naszej ojczyźnie, ale tak dla niej potrzebnem. Pewna kontrola własnych pojęć o stylu jest od czasu do czasu dla stylisty — a takim jest malarz dekoracyjny — potrzebna dla jego i jego bliźnich dobra. Nie należy nigdy liczyć na pewne złośliwe własności Warszawy. Tu się łatwo obniża wielkich, kosztem małych. Trzeba zostać wielkim i nie pozwalać sobie na ślizgawkę.

Józef Węgrzyn — Karol Moor — znakomity aktor — jeden może ze wszystkich uniósł w całości poezję naiwnego Schillera na swoich potężnych barkach. Brydziński okazał się doskonałym stylistą w odtworzeniu demonicznego Franciszka Moora. Dobrze, jak zwykle, i jak zwykle sumiennie służył swą niecodzienną techniką, roli starego Moora Chmieliński. Pannie Jaroszewskiej Amelja się nie udała. Dobrej tej artystce przeznaczono u nas za wielkie zadanie. Robienie „gwiazd“ nagwałt nigdy się nie udaje. I wogóle, po co robić gwiazdy? Niech już tam lepiej astronomowie je wyszukują, albo niech same zabłysną.

Reszta wykonawców poprawna zupełnie w tych ramach, jakie jej dano. Świadczy to o panowaniu pewnej subordynacji, którą zapisać musimy na dobro p. reżysera Trzczińskiego.

Przekład stary Michała Budzyńskiego budzi wiele filologicznych i literackich wątpliwości. Rzeczą dyrekcji było poddać go baczniejszej analizie... Literacko rzecz biorąc, dzisiejsi „Zbójcy“ są tymi samymi złymi „Zbójcami“, z czasów zamierzonych scen warszawskich. I jeszcze jedno. Dlaczego nie gra się u nas najlepszego dramatu Schillera (sam Mickiewicz go chwalił!). „Don Carlos“, skoro biblioteka teatralna posiada znakomity nowy przekład Iłakowiczówny?

Z. P.



## O WNETRZACH MIESZKANIOWYCH

URZĄDZANIE MIESZKANIA

Trzecim mieszkaniem będzie takie, w którym znajdują się same nowe meble. Tu się dopiero ma wolną rękę do działania. Tu się przejawia dusza i kultura mieszkańca. W tem, jakie meble sobie sporządzi, jak przyozdobi ściany, jakimi książkami zapełni półki. Wysuwa się odrazu cała moc zagadnień, jak np. czy ściany tapetować, czy tynkować? Cóż. Piękny tynk jest świetny do obrazów i mebli, ale też pięknymi są kosztowne tapety. W każdym razie lepszy tynk od taniej makulatury. Hasłem dnia dzisiejszego jest względna przestronność w mieszkaniu. A że lokale są niewielkie, tem samem ustawia się mniej mebli. Tylko to, co najpotrzebniejsze, by było dużo wolnego miejsca.

Czy możnaby ująć w przepisy, czego należy unikać w mieszkaniu, by go nie zeszpecił? Mniej więcej — tak. A więc, najpierw, okno. Nie upinajmy firanki w skomplikowane festony, trudne do odświeżenia, nagromadzające kurz. Proste fałdy są najładniejsze. Gdy chcemy zbyt wielkie (o ile może być za wielkie) okno przysłonić kotarą, dajmy ją rozsuwaną w obie strony na przecie. Drzwi nie należy nigdy zawieszać, chyba, że jest potrzeba zabezpieczenia od chłodu, np. wejście z sieni do hallu, czy gabinetu, jakkolwiek w zbytkownych mieszkaniach można albo mieć drzwi wsuwane w ścianę, albo zdjęte z zawiasów i zastąpione portjerami. Przy wchłaniaczach kurzu nie jest to dziś takie straszne jak dawniej, a połączenie w ten sposób paru salonów, czy biblioteki z hallem, czy gabinetem — ma specjalny urok.

Najsłabszą stroną nawet bardzo szanownych mieszkań są ściany. Ludzie bardzo rzadko myślą nad tem, co wieszają sobie przed oczami. Można wybaczyć pokojówkom, lokajom i stróżom, że sobie tapetują ściany nad stołem, czy łóżkiem ilustracjami z tygodników, lub pocztówkami, nie mówiąc o fotografiach w odświętnych strojach. Pamiętajmy, że fotografie powinny tylko wisieć nad biurkiem, a najlepiej, gdy leżą w albumie. Co do pocztówek, to choćby najładniejsze, najlepsze, służyć powinny tylko do korespondencji, a potem do przebywania w albumie, gdy są rzeczywiście wartościowe, jako reprodukcje dzieł sztuki, ale pocztówka na ścianie jest nonsensem. Przedewszystkiem jest za drobna, trzeba tknąć ją nosem, aby zobaczyć, co przedstawia. Zgrupowanie paru kolorowych plamek, (polowanie na lisa, kotki i pieski, piękność z Variété, życzenia N. R. i parę innych), spiętych kokardą z kotyłjona, lub pluskiewką — to coś potwornego, a gdy jeszcze są na podkładzie z maty, zebrane w większej ilości nad kanapą, można dostać

konwulsyj. Najmniejszego wymiaru obrazki na ścianę powinny być wielkości strony z zeszytu, i to jeszcze na paspartu i pod szkłem. Wyjątek stanowią minjatury, ale te wiszą nad burkiem, tak że siedząc przy nim, ma się je tuż przed oczami. Ponieważ nie każdego stać na sztychy, oryginały olejne, lub akwarelowe, mamy dziś przepyszne reprodukcje, lub fotografie w dużej skali całych dzieł sztuki, bądź fragmentów.

Tylko dekorując ścianę, należy uważać, by jej nie przeładować, by obrazki były w zgodzie ze sobą i z meblami, stojącymi poniżej.

O wieszaniu haftów na ścianie, ręczników z sentencjami o rannem wstawaniu i pieniądzach — wole nie mówić. Haft jest rzeczą piękną, gdy leży na stole, lub, ostatecznie, na oparciu kanapy w miejscu, gdzie się kładzie głowę, pozatem na tiulowej firance i na sukni. Skromną ścianę pokoju na letnisku, lub w niezamożnem mieszkaniu ślicznie ubrać płaskimi buketami z liści jesiennych, lub gałęzi jodły.

Należy je tylko często zmieniać, lub odświeżać.

Panuje obecnie epidemja batikowanych narzutek na lampy. Bardzo to ładne, ale gdy się obejrzy z dziesiątek saloników i w każdym trzeba się zachwycić wykonanym przez panią (vel pannę) batikiem na lampie, człowiek może dostać mdłości, jakby zjadł przynajmniej ze dwie batikowane co większe chustki.

Czegóż jeszcze należy unikać? Wszystkiego, co razi, co krzyczy, co jest zbyt banalne, rozpozszecznione.

Lepiej iść za własnym popędem, gdy się ma dobry gust, niż naśladować modę, która szybko przemija, staje się nudną i szablonową.

Należy zawsze i we wszystkim unikać przesady i ekscentryczności, która po pewnym czasie staje się śmieszną.

Zygmunt Knothé.



## PIERWSZA POMOC W NAGŁYCH WYPADKACH

Jeżeli się zdarzy krwotok z jamy ustnej, należy przedewszystkiem się zastanowić, czy krwotok pochodzi z jamy ustnej, z żołądka, czy też z płuc.

Dla rozpoznania tego trzeba pamiętać, że krew z płuc zwykle wydobywa się z kaszlem, z żołądka — z wymiotami. Dlatego też znany jest sposób przyłożenia papierka niebieskiego, lakmusowego, do krwi (o ile jest pod ręką): przy krwotoku z jamy brzusznej stwierdza się obecność kwasów solnych i papierek z niebieskiego staje się czerwonym; przy krwotoku zaś z płuc — zostaje bez zmiany.

Krwotok może pochodzić również z dziąseł np. przy skaleczeniu dziąseł lub przy wyjmowaniu zęba. Jeśli krwotok pochodzi z dziąsła — należy silnie uciskać wata i czekać przybycia lekarza. Krwawienie z dziąseł może być przy wyjmowaniu zębów, skorbucie, skaleczeniu, — z płuc — przy gruźlicy.

Przy krwotoku z jamy ustnej, niezależnie, czy przyczyna leży w przewodzie pokarmowym, lub oddechowym, postępowanie tu ma jednakowe wskazanie: spokój, ułożenie chorego, lód do połykania, zimny okład na brzuch — gorący na nogi, żelatynowa galaretka do wewnątrz. Krwotok żołądka może być na tle wrzodu żołądka, wtedy to pomoc natychmiastowa lekarska jest konieczna.

Pozostaje do omówienia krwotok z nosa, który bywa przy anemji, chorobach płucnych, serca, nerek, zwapnieniu żył, a u dzieci — wskutek dłubania w nosie.

Wtedy to należy położyć chorego nawznak z głową obniżoną, dać zimny okład na kark — silnie zatkać otwór nosowy watą (lepiej — przepojoną żelazem).

Po omówieniu w ogólnych zarysach pomocy naglej przy krwotokach, chciałabym poruszyć zasłabnięcie z podniesioną ciepłotą. Pierwszem wskazaniem jest wtedy ułożyć chorego w ciepłym łóżku, podać aspirynę, lub chininę do wewnątrz. Jeśli podniesieniu temperatury towarzyszy katar, dać menthol do nosa, przy bólu gardła — płókanie wodą utlenioną, przy objawach ze strony przewodu pokarmowego — dietę płynną, ewentualnie zastosować środek przeczyszczający. Uważać, by przy podrażnieniu, lub zapaleniu wyrostka robaczkowego, przy wrzodach żołądkowych i kiszkiowych nie podawać środków przeczyszczających. Jeśli są bóle w klatce piersiowej i w krzyżu, przy uporczywym kaszlu dobrze jest postawić bańki.

Naturalnie, pomoc lekarska jest tutaj potrzebna, ale nie tak szybko, jak przy innych przypadkach, np. krwotokach. Bardzo często nie można początkowo zdecydować, z jakiego rodzaju zasłabnięciem ma się do czynienia — gdyż początkowo wszystkie choroby zakaźne dają jednakowe objawy, rolę swą należy ograniczyć do wyczekiwania i zastosować aspirynę, środek przeczyszczający i dietę. Wrazie epidemicznego pokazania się jakiejś choroby, np. szkarlatyny, należy przez ostrożność izolować chorego — chociażby to było jeszcze zupełnie zbyteczne i cała choroba skończyła się na dwudniowym podniesieniu ciepłoty.

Do nagłych wypadków należą zatrucia, spowodowane przez ukąszenia żmii. Po ukąszeniu pozostaje na ciele ślad 2-ech wbitych zębów, jest to miejsce, w które dostała się trucizna. Te widoczne znaki

ogromnie ułatwiają nam niesienie pomocy, gdyż dają możność działania w określonym miejscu zatrucia. Po ukąszeniu, miejsce ukąszone sinieje i występuje obrzęk całej kończyny; towarzyszą temu: drżenie, duszność, sinica i następuje śmierć. Ukąszenia zwykle są bardzo niebezpieczne dla dzieci. Z wypadkami ukąszeń spotykamy się najczęściej w okolicach lesistych i wilgotnych, na szczęście przypadki takie u nas w Polsce są bardzo nieliczne.

Ratownictwo polega na wysaniu ranki, oile nie ma się na ustach zadraśnięcia (sposób dla ratującego niebezpieczny gdyż małe zadraśnięcie może być przeoczone, a może spowodować katastrofę); lepiej więc ranę natychmiast wypalić kwasem azotowym, w braku tego środka pod ręką — gorącym żelazem. Całą kończynę bardzo mocno podwiązać, po godzinie przewiązkę trzeba zdjąć, by nie wywołać gangreny. Do wewnątrz podawać czarną kawę, alkohol w olbrzymich ilościach, kamforę. W Ameryce, gdzie żmij jadowitych jest tak dużo, stosują wstrzykiwania surowicy ochronnej przeciw ukąszeniom żmij z bardzo dobrym skutkiem. Ukąszenia gadów i os nie są niebezpieczne dla życia ludzkiego, jednak bywają bardzo przykre i bolesne. W miejscu ukąszenia występuje obrzęk. Pomoc naglej polega na wyjęciu żądła i zastosowaniu okładu z wody Burova.

Zatrucia stanowią poważny dział w nagłych zasłabnięciach. Zatrucia mogą być przypadkowe i umyślne. Charakterystycznym jest, iż człowiek inteligentny odbiera sobie życie morfiną, opium, veronalem; ludzie mało inteligentni — zapałkami, vitryolem, jodyną. Przyczyny samobójstw ludzi inteligentnych w ostatnich czasach mają tło w zniechęceniu do życia, u pół inteligentnych w znacznej części — zawody miłosne.

Otrucia. Trucizny mogą dostać się do organizmu drogą oddechową np. gaz świetlny, drogą przewodu pokarmowego, lub przez skórę, np. w kąpielach. Działanie trucizn zwykle bywa nagłe.

Należy przy otruciu bacznie zwrócić uwagę na resztki, znalezione przy chorym. Przy otruciu bada się ogólny wygląd, stan jego przytomności, oddech, tętno, temperaturę, reagowanie zrenic, wygląd, śluz w ustach. Działanie trucizn bywa najczęściej natychmiastowe; szybka pomoc w danym wypadku może niejednokrotnie uratować życie człowieka.

Przy zatruciach uwagę należy zwrócić na ilość godzin, które upłynęły od wypadku.

Przy zatruciach, o ile pomoc jest bardzo szybka, należy wypłókać żołądek, ewentualnie spowodować ruchy wymiotne zapomocą łechtania gardła lub wypicia letniej wody. Należy podać antidotum w postaci mleka, białka, oliwy, mocnego nawaru herbaty, octu.

Przy oglądaniu jamy ustnej zwracamy baczna uwagę, czy znajdziemy ślady użycia mocnej trucizny, wtedy nie wywołujemy wymiotów, z obawy ponownego przechodzenia przez gardło jądów, lecz dajemy środki osłabiające w postaci antidotum, wyżej wymienionych.

Dalszy ratunek ogranicza się na wzmocnieniu serca (patrz środki nasercowe).

Z trucizn, najczęściej stosowanych przy samobójstwach, są z kwasów: solny, azotowy, siarkowy, karbolowy, esencja octowa. Z zasad: soda żrąca, potasz, amonjak, jodyna, sublimat. Otrucia tego rodzaju powodują poparzenia na brodzie i wargach, następu-

ją wymioty, zabarwione kolorowo, uczucie duszności i śmierć.

Przy tego rodzaju zatruciach nie wolno podawać środków przeczyszczających, a tylko antidotum.

Przy zatruciach kwasem siarkowym — są czarne wymioty; kwas solny daje białawe naloty w ustach i krew w moczu.

Kwas octowy — zapach octu w ustach. Kwas karbolowy — zapach karbolu, mocz zielona. Jako antidotum podać należy dużo mleka, wodę wapienną, na wsi zeszkobane wapno ze ściany, dużo białka, lód do połykania, środki nasercowe.

Przy zatruciu amonjakiem, ługiem, potaszem — wymioty maziste; podawać białko, kwas cytrynowy, lekki ocet. Zatrucie sublimatem — objawy: ślinienie, wymioty, „biegunka“, szybko następuje śmierć.

Uwaga: Jeśli niema pewności, czem dokonano zatrucia, należy podać na wszelki wypadek mleko, białko.

Przy sublimatowych zatruciach poza mlekiem stosuje się olej rycynowy, lewatywy. (Dla wszelkiej pewności lepiej uważać na resztki pozostałej trucizny, lub na pozostałe opakowanie tejże w postaci flaszki, lub pudełka).

Przy niesieniu pomocy przy zatruciach o wiele lepiej zrobi się, jeśli będzie obserwować dokładnie pozostałości po zatruciu i dopiero wtedy zastosuje się odpowiedni sposób ratowania.

Bywają zatrucia soli miedzianych, grynszpan na niepobielanych naczyniach; wtedy to po spożyciu tych trucizn występują objawy: ból głowy, zielone wymioty, utrata przytomności.

Należy podawać dużo białka — lewatywy. Przy zatruciu arsenikiem występuje trudność połykania, sinica, zapad śmierci.

Jako antidotum — podaje się magnezję.

Zpóśród najczęstszych zatruc spotyka się zatrucie alkoholem. Po wypiciu nadmiernej ilości alkoholu przychodzi stan podniecenia, następuje utrata przytomności i zapad. Organizm chroni się przed zatruciem wymiotami; właściwie otrucie alkoholem jest bardzo łatwe do rozpoznania z powodu zapachu, jaki się wydziela. Ilość około 300 gramów może powodować śmierć. Upicie alkoholem spotyka się bardzo często, każdy człowiek powinien umieć ratować to najczęstsze zatrucie. Ratunek polega, o ile jest możliwość, na wypłókaniu żołądka, na głowę zaś podawanie lodu, na ręce i nogi okłady gorące. Dobrze jest podać czarną kawę.

Do zatruc rzadziej spotykanych należy opjum, morfina, veronal. Wszystkie te zatrucia charakteryzują się sennością, źrenice są zwężone, zwolnione tętno i oddech, sinica, zapad. Ratunek polega na wywołaniu wymiotów, następnie wzmocnieniu serca za pomocą czarnej kawy, zastrzyków i t. d. Nie wolno pozwolić spać choremu, tylko trzeba go uporczywie budzić. Poza otruciami lekarskimi spotyka się dość często zatrucia potrawami, zepsutymi jagodami, grzybami i mięsem.

Dr. med. Julja Światałska.

## JAK WYCHOWAĆ KANARKI

Niejednokrotnie odbierając zapytania od naszych prenumeratorek, jak pielęgnować i leczyć kanarki — odpisuję więc na łamach „Bluszczu“, wiedząc, że hodowla ich jest bardzo rozpowszechniona i zamiłowanie do wdzięcznych, ślicznie śpiewających ptaszyn — ogólne. Nic to dziwnego, cieszą bowiem nasz słuch i wzrok równocześnie i rozweselają szare codzienne życie. Aby pielęgnować kanarkę, trzeba go przede wszystkim mieć, a nabyć zdrowego, dobrego śpiewaka, to jedna z większych trudności. Kanarki najlepiej jest kupować w połowie grudnia, wcześniej nie są jeszcze wykształcone w śpiewie, później — przebrane, a więc wystawione u hodowców dorodne sztuki za drogie, tańsze zaś drobne i liche. Dostawszy ptaszka, trzeba uważać, aby nie za szybko zmienić warunki jego bytowania, bo czy to harcki, czy też, zwyczajny kanarek, bardzo jest wrażliwy na wszelkie zmiany.

Klatki drewniane, choć tańsze, przytulniejsze i bezpieczniejsze, bo ptaszek nie tak łatwo skaleczyć się w nich może, ustępują miejsca metalowym, jako bezwzględnie higieniczniejszym, łatwiej utrzymać je w porządku i ustrzec od robactwa, niepokojącego ptaszka. Trzeba tylko uważać, żeby klatka była z grubego drutu, miała głęboką wyciąganą szufladkę a dla zapobiegania wyrzucaniu piasku i ziarenek, zasuwana była z zewnątrz szybkami matowymi, lub kolorowymi. Piasek w szufladce trzeba zmieniać codziennie, a starannie go wysuszywszy, osiać przez rzadkie sito. Grządki powinny być z miękkiego drzewa, lepiej grubsze, jak cienkie, aby ptaszek nie wykrzywił pazurków, obejmując je. Najzdrowiej jest mieć grządki rozmaitej grubości, byle nie puste w środku trzcinki, lub wydrążane patyczki bżowe, gromadzi się w nich bowiem robactwo, które trudno jest wytrącić. Grządki trzeba często skrobać, parzyć i myć — ale tylko starannie wysuszone założyć zpowrotem.

Jeżeli klatka jest wysoka i zakładamy parę kondygnacyj grządek, uważać należy, aby się miały i nie były zbyt dalekie od siebie, a to dla ustrzeżenia kanarka od wysilania się na zbyt wysokie skoki. Bardzo praktyczne są wchodzące w użycie grządki korkowe — elastyczne, miękkie; chronią ptaka od choroby nóg, a tem samym utrzymują go w zdrowiu, dobrym humorze, i dodatnio wpływają na śpiew.

Naczynia do podawania pokarmu i wody muszą być gładkie, porcelanowe, lub szklane, nigdy blaszane, lub emaljowane, ani drewniane. Blaszane rdzewieją; z emaljowanych łatwo ptaszek obdłubuje polewę i truje się, łykając jej okruszki, w drewnianem zaś woda tęchnie, a pokarm kwaśnieje. Wodę ptak powinien mieć do picia stale świeżą. W lecie zmienianą przynajmniej dwa razy dziennie — niema bowiem gorszej dla niego trucizny, jak woda nieświeża, zanieczyszczona kałem. Kąpiel podaje się kanarkowi codziennie, najlepiej przystawianą do drzewiczek; zdrowy ptaszek kąpie się regularnie, a w lecie czasem i dwa razy na dzień. Wodę kąpielową w zimie zaletnia się cokolwiek, w lecie daje zimną — to samo do picia. Łazienkę po wykąpaniu odbiera się zaraz ptakowi, wodę wylewa i osusza dokładnie. Podczas i po kąpieli trzeba strzec ptaka od przeciągów, na które jest wyjątkowo wrażliwy.



Chcąc, żeby ptaszek dużo i pięknie śpiewał, nie licząc się z jego zdrowiem i wygodą, — zamykają go w małej, ciasnej klateczce: śpiewa bez ustanku i tak, jak gdyby skarżył się na swoje więzienie, wyciąga rozczulające swą rzewnością tony. Jest to sposób nieludzki, — kto go używa, niechaj choć raz na dzień wypuszcza ptaszynę na swobodę, żeby rozkurczyła sobie zeszywniałe nóżki i skrzydełka. Najlepiej jest dać kanarkowi klatkę 35 cm. długą, a 25 cm. szeroką. Do hodowania małych, klatka musi być większa, z zawieszonymi po dwóch końcach na drucikach gniazdeczkami blaszanymi, lub tekturowymi, najgorsze są koszyczki z wikliny, ze względu na łatwe zanieczyszczenie kleszczami. Czystość i świeżość pokarmu, łatwo zrozumieć, jak ważną rolę gra w egzystencji kanarków. To też pożywienie dla nich kupować najlepiej w sklepach, handlujących ptakami, — bo ze względu na swoje muszą starać się o dorodne, zdrowe ziarno, kiedy po sklepikach najczęściej mają stęchłe, zakurzone, przesiąknięte odorem nafty, śledzi, sera i t. p. bardzo szkodliwych dla ptaka wyziewów.

Podstawowym, najzdrowszym dla kanarka pokarmem jest rzepak, konieczne letni, o drobnych, równych, z brązowo-fioletowym odcieniem, ziarenkach. Chociaż samym rzepakiem ptaszek wyżyć może, chcąc, aby pięknie śpiewał i miał lśniące upierzenie, dodawać mu trzeba różnych przymieszek, z których najważniejszą jest kanar. Oprócz kanaru używa się owies łuskany, grubo mielony, mak, siemię lniane, siemię konopne, wszystko tylko bardzo dorodne, dojrzałe i świeże. Dodatki trzeba umiejętnie stosować do indywidualności ptaszka: tuczających, jak mak, konopie, siemię, kanar, nie można dawać kanarkom, mającym skłonność do tycia, jak wszystkie gatunki z gór Harcu — owies, zieleninki są dla nich wskazane, pozostawiając tamte dla tłuszciochów, jako rzadko podawane przysmaki, a jako codzienną karmę dla chudo trzymających się ptaszków. Utrzymać miarę w tuszy kanarka jest jedną z najtrudniejszych w ich pielęgnowaniu rzeczy, nic tu przepisy, ani wskazówki nie pomogą, zależy to głównie od obserwacji i śledzenia indywidualności ptaka.

Pilnie śpiewającym kanarkom daje się potrochu siekanego, na twardo ugotowanego, konieczne świeżego jajka. Każdy gatunek ziarenek powinien być podawany osobno, żeby ptaszek nie wybierał tego, co mu najlepiej smakuje, wyrzucając inne. Oprócz ziarenek daje się kanarkom biszkopcika, żdźbło suchej bułeczki, umaczone w mleku, listki suchej, zdrowej sałatki zielonej i owoce. Ponieważ każdy ptak potrzebuje, zwłaszcza przy pierzeniu się, przymieszki wapiennej, dobrze jest zakładać mu między szczebelki od klatki kawałek ossa sepji, z której ma podwójny użytek, bo wewnętrzny i skrobiąc ją, ostrzy sobie dziobek. Jakkolwiek tak, jak pierw wspomniałam, trudno jest ustanowić normę pożywienia dla ptaków, każdy bowiem potrzebuje czego innego, mniej więcej stosować się można do następującej: pół łyżeczki rzepaku wsypać do gęstego włosianego sitka, przelać ukropem i tak długo niem potrząsać, póki ziarneczka zupełnie nie wyschną, śpiewającym ptaszkom codziennie trzeba dawać po pół łyżeczki siekanego jajka, pomieszanego z kanarem — podczas pierzenia — co drugi dzień. Kanarkom, słabo śpiewającym, daje się 6—8 ziarenek konopi dziennie, ptaszkom chudym można dawać trochę więcej z dodatkiem maku, — tłustym, zamiast kanaru — owies, grubo mielony; kanar-

kom harcym trzeba oględnie podawać zieleninę, krajowym nie szkodzi i mogą, a nawet powinny dostawać ją codziennie. Bardzo pożądanym jest dawanie od czasu do czasu kawałeczek świeżej niesolonej słoninki, pod żadnym zaś pozorem cukru, cukierków, czekoladek, mięsa, kartofli, bo są one nietylko szkodliwe, ale poprostu trujące dla ptaka. Jedząc w pobliżu kanarka, trzeba i jemu dać jakiś stosowny dla niego przysmaczek, a więc biszkopcik, kawałek jabłuszka' albo nad wszystko ulubioną figę.

c. d. n.

J. S.



## CYTRYNY, MANDARYNKI, POMARAŃCZE

Panie, mieszkające w mieście, szczególnie w dużym mieście, i mogące przez rok cały mieć na zawołanie świeże cytryny, a przez trzy ćwierci roku pomarańcze, nie mają pojęcia o tem, jak dotkliwym jest brak tych owoców na wsi. Szczególniej cytryny, owoc par excellence kuchenny, są wciąż niezbędne. Ostatnimi czasy całe szeregi nietylko ludzi starszych, lecz nawet zupełnie młodych, już nie mówiąc o dzieciach, nie używają wcale octu: wszystkie zupy i sosy muszą dla nich być zaprawiane sokiem cytrynowym. Oczywiście, cytryn dostać można w najmniejszym miasteczku, nawet czasem w sklepikach wiejskich, ale, o ile transport nie jest najświeższy, jak te cytryny wyglądają?

Pomięte, pobite, nadpsute, lub też naodwrot — wyschnięte jak kamyki — zupełnie nie do użycia. Otóż cytryny dają się dosyć dobrze konserwować w suchej piwnicy, wrzucone pomiędzy gałązki dobrze wysuszonej, zwykłej miotły brzozonej. Należy je często przeglądać i te, które okazują pierwsze ślady zepsucia, brać natychmiast do użycia. Oprócz tego sok, z cytryn wyciśnięty, zlany w małe buteleczki i polany po wierzchu na palec świeżą oliwą, daje się całymi miesiącami przechować, byle tylko buteleczki, do niego użyte, były doskonale czyste i suche, i byle je przechowywać w suchej spiżarni. Taki sok jest niezbędny do nadawania kwasu zupom, sosom, majonezom i t. p.

O ile chcemy mieć aromat cytryn, należy na cieniuchnej tarce ocierać skórki z cytryn przed ich wyciśnięciem na konserwę, lub do potrawy, — wiórki takie przesypywać rzędami cukrem i trzymać w hermetycznie zamkniętym słoiku. Zwykle, czasem cukier się częściowo rozpuści i tak przejdzie aromatem

cytryn, że mała łyżeczka tej masy, dodana do ciasta, albo leguminy, zastąpi świeżą skórkę z całej cytryny. Do herbaty najlepiej smażyć zwykle cytrynowe konfitury, wybierając cytryny o grubej skórce, krajając je w cienkie plastry, odrzucając uważnie ziarenka i smażąc w bardzo gęstym syropie na bardzo wolnym ogniu. Staroświecki sposób gotowania cytryn na miękko przed ich smażeniem, powiększa tylko znacznie robotę, nie dając wcale lepszych rezultatów. Duża część aromatu i kwasu cytryny pozostaje w wodzie, którą się odlewa, a stwardnieniu w smażeniu przeciwdziała doskonale smażenie bardzo wolne i użycie bardzo gęstego syropu.

Kto rozporządza dużymi ilościami agrestu i wyrabia większą ilość surowego soku agrestowego, może w nim doskonale przechować cytryny przez rok cały, przyczem sok sam nabiera od cytryn wybornego aromatu i wcale od cytrynowego prawdziwego się nie różni. Cytryny, dobrze otarte z wilgoci, ułożyć w słojach, zalać sokiem agrestowym, aby je pokryło, na wierzch nalać, jak na sok cytrynowy, na palec oliwy, zawiązać pęcherzem i trzymać w suchym miejscu. Nie zmieniają smaku, wyglądu, ani aromatu tak przechowywane. Pomarańcze, nie tak niezbędne, jak cytryny, są jednak poważnym zasiłkiem kuchni każdej, szczególnie przy wyrobieniu ciast i legumin skórkę pomarańczową smażoną nie dadzą się niczym zastąpić. Same pomarańcze, owinięte, każda w jedwabny papier, i ułożone w suchą miotłę, dają się jednakowo dobrze konserwować przez parę miesięcy, jak cytryny.

Skórki, tarte na delikatnej tarce, przesypane cukrem są również trwałe, jak cytrynowe, i tak samo zachowują aromat świeżego owocu, i użycie się dają do ciast i potraw. Szczególniej do kompotów z owoców mało aromatycznych, jak jabłka i niektóre gatunki gruszek dodatek nie dużej ilości takiej masy pomarańczowej ogromnie ich smak podnosi. Konfitury pomarańczowe zwykle smaży się dwóch rodzajów: jedne, ładniejsze, z dużych pomarańczy, o grubej skórce, najlepiej malinowych, dla ładnego koloru, krajane w plastry i smażone w podwójnej, na wagę, ilości cukru, służą do ozdabiania ciast i tortów, do podawania na smażonych grzankach z bułki, jako wyborny, samodzielny deser, nakoniec podają się między innymi gatunkami konfitur do herbaty, wtedy kiedy chodzi o podanie eleganckie. Drugie, na wzór jam'u angielskiego, robią się z całych pomarańczy, drobno pokrajanych, biorąc cukru kilo na kilo owocu i smażąc je do gęstości prawie marmelady. Takie konfitury są wyborne do codziennego użytku, do herbaty i do chleba, do naleśników i do wafli, do przekładania tortów i przekładających, czy „dziadów“ wielkanocnych.

Nakoniec należy zbierać wszystkie skórki z pomarańczy, czy to zjadanych na świeżo, czy to podawanych w kompotach, moczyć dni kilka w świeżej wodzie, a gdy się ich zbierze większa ilość, krajając w cienkie paski i smażyć w cukrze do przezroczystości. Takich skórek pomarańczowych w gospodarstwie każdym nigdy niema za wiele. Każdej, najpospolitszej bułeczce domowej dodają aromatu, każdy kompot robią smaczniejszym, do każdego prawie budyniu dadzą się dodać.

Nakoniec przechodzę do najsmaczniejszego, lecz i w największych stolicach świata tylko sezonowego owocu — mandarynek. Niezrównane co do smaku i aromatu na świeżo, niestety, nie dadzą się wcale zakonserwować. Amatorowie, a raczej amatorki smażą z nich wprawdzie konfitury, nawet starając się je zachować

w całości. Zdaniem jednak mojem, jest to praca nader niewdzięczna, gdyż owoc ten nie traci najważniejszej zalety, aromatu, ale go zmienia tak dalece, że pierwsza lepsza pomarańcza, po smażeniu jest dużo lepsza od wykwintnej na świeżo mandarynki. Skórki mandarynkowe suszone też dużo ustępują pomarańczowym. Jedyną rzeczą wyborną, którą z mandarynek zrobić można, jest likier. Drobne, niepokazne, lecz soczyste i dojrzałe mandarynki należy ułożyć w gąsior o szerokiej szyjce, nakładając ich do trzech ćwierci zawartości gąsiora. Chcąc przyspieszyć dojrzewanie likieru, można je głęboko nakłuć srebrnym widelcem, lub drewnianym patyczkiem. Zasypać owoce cukrem, (pudrem lub drobnym kryształem,) tak, aby je pokryło.

Sypiąc cukier, należy potrząsać gąsior, aby cukier zapełnił przestrzeń między owocami. Nakoniec nalać do pełna najlepszym spirytusem, zakorkować, albo zawiązać gąsior mokrym pęcherzem, i postawić na słonecznym oknie, lub gdzieś w okolicy pieca. Codziennie potrząsać gąsior, aby przyspieszyć topnienie cukru, który w spirytusie zwykle źle się rozpuszcza. Gdy cukier się zupełnie rozpuści wynieść do suchej szpizarni i trzymać tak długo, aż się zjawią nowe mandarynki, to jest około dziesięciu miesięcy. Wtedy dopiero zlać z owocu i używać. Taki likier nie ustępuje w smaku włoskim i francuskim „Mandrino“, a nawet je przewyższa. Na złane mandarynki można nalać zwykłej, czystej wódki: po paru miesiącach będziemy jeszcze mieli lekko słodką, aromatyczną wódkę do codziennego użytku.

Pani Elżbieta.



Już wyszła z druku

oczekiwana przez tysiące pań książka

Dr. med. Julji Świtalskiej p. t.

## „PIĘKNOŚĆ I ZDROWIE W ŻYCIU KOBIETY“

(Higjena kosmetyczna)

Nieocenionej wartości zbiór najważniejszych wiadomości z zakresu higieny kobiecej, nauka masażu twarzy, biustu etc.

Cena egz. 5 zł.

Wysyłka tylko po nadesłaniu należności,

Tow. Wydawnicze „Bluszcz“, Warszawa, Krak. Przedm. 99.  
Konto P. K. O. Warszawa Nr. 13.555.

## Przepisy Gospodarskie



## KURA Z BESZAMELEM

W mieście kupuje się przeważnie drób zarżnięty, należy więc bacznie zwracać uwagę na to, czy jest jeszcze świeży, czy nie trzymano go za dłużej na składzie.

Na wsi odwrotnie, nieraz trzeba pośpiesznie zarżnąć kurę, lub indyka i niema czasu czekać długo, aż skruszeje.

U nas w domu dawano indykowi, lub kapłonowi duży kieliszek spirytusu na dwie, lub trzy godziny przed jego zarżnięciem. W Rosji w tymże celu dają duży kieliszek mocnego octu. Jeśli mamy dobrą kurę, najlepiej jest świeżo zarżniętą sztukę owinać w grubą papier i zakopać na 24 godziny do ziemi, — wybornie skruszeje. Dużą, tłustą kurę, starannie oprawioną, upiec pod blachą, — jeśli jest młoda, udusić w rondlu, — jeśli nieco starsza, w obu razach, zamiast masła, używając frytury wołowej, która ślicznie rumieni, a nie wsiąka w mięso. Oddzielnie ugotować w wodzie z octem, parę główek kalafjorów, lub też pół kilo pokrajanych w kostkę szparagów. Zimą obie te jarzyny można zastąpić główką włoskiej kapusty, lub ugotowanymi i obranymi kasztanami. Te ostatnie są bodaj najsmaczniejsze, niestety jednak, wobec wysokiego cła, ogromnie kosztowne. Kurę, ładnie porąbaną, ułożyć na półmisku metalowym, podać pod nią sos, w którym się dusiła, obłożyć wkoło którąkolwiek z wyżej wymienionych jarzyn. Filiżankę mąki zasmażyć na biało z taką ilością masła, rozprowadzić 3—4 szklankami dobrego mleka, lub śmietanki, osolić, dodać odrobinę muszkatołowej gałki, wbić w to dwa całe jaja, (w przestudzony beszamel, aby się nie zwarzyły). Kto lubi bechamel ostrzejszy, może dodać garść ostrego sera tartego. Sosem tym pokryć równo kurę i jarzynę. Posypać grubo tartą bułeczką, zmieszaną po połowie z ostrym serem, położyć gdziegdzie po małym kawałku masła i wstawić na kilka minut w bardzo gorący piec, aby się beszamel tylko po wierzchu zrumienił. Podawać natychmiast, gdyż stojąc, opada i smak traci.

## BLINY GRYCZANE, ROSYJSKIE

Cztery szklanki mąki gryczanej rozczynić trzema szklankami ciepłego (nie gorącego) mleka, lub wody i trzema deka drożdży, rozmieszanych w pół szklance letniego mleka, lub wody, dodać łyżkę roztopionego masła i dwa żółtka. Wyrobić i wybić doskonale drewnianą łyżką, lub kopystką, przykryć miskę płótnem, dać podrosnąć. Gdy dobrze wyrosnie, wysypać łyżeczkę soli i tyleż cukru, wybić ponownie i sparzyć półtora do dwóch szklankami wrzącego mleka, lub wody, wybić mocno, przykryć ponownie. Drugi raz podраста bardzo prędko. Mieć należy już przygotowane, topione masło i ustawione na blasze nieduże, żelazne patelki. Gdy wyrosnięte, ubić sztywną pianę z pozostałych białek, zmieszać ostrożnie z ciastem, przenieść ostrożnie na brzeg blachy i piec, smarując patelki patyczkiem, owiniętym czystą szmatką, gdyż piórko się natychmiast przypala. Ciasto nalewać cienko, gdyż dużo narasta. Dobrze zrumienione z obu stron, układać w zakrytą salaterkę, lub nelsonkę, stojącą w ciepłym, gdyż bliny nie powinny ostygnać. Tylko bardzo gorące są smaczne i strawne. Do nich się podaje w jednej sosjerce topione masło, w drugiej gęstą, kwaśną śmietaną. Wobec niesłychanej drożyzny kawioru i siomgi, wybornym dodatkiem do blinów są śledzie uliki, lub pocztowe, starannie oczyszczone z ości, drobno usiekane i zmieszane po połowie z najlepszą, gęstą śmietaną.

ANGIELSKIE CIASTO WESELNE  
(WEDDING—CAKE)

Oryginalny ten przepis ciasta, bardzo tłustego i korzennego, może się podobać wielu osobom, lubiącym rzeczy ostre. Ciasto to ma też tę zaletę, że bardzo długo nie czerstwieje, jak zresztą prawie wszystkie angielskie ciasta i puddingi. Czterdzieści deka masła utrzeć doskonale na śmietaną z czterdziestu deka cukru, dodając po jednym sześć dużych jaj całych. Masa powinna być utarta tak, aby była puszysta, jak piana. Dodać 20 deka drobno utartych migdałów słodkich, w tem kilkanaście gorzkich, 30 deka przebranych koryntek, łyżeczkę od herbaty utłuczonych goździków, tyleż cynamonu, niedużą utartą gałkę muszkatołową, tyleż na objętość utartego imbiru, pół szklanki mocnego wina madery, lub malagi i tyleż rumu. Nakoniec wysypać czterdzieści deka najlepszej mąki pszennej, starannie wymieszać. Formę tortową wysmarować masłem, wysypać bułeczką, przełożyć

Przeszło 100 praktycznych przepisów przygotowania niekosztownych, a smacznych potraw, odpowiednich do podania na śniadania i kolacje i dopełnienia menu obiadowego

p. t.

„PRZYSTAWKI GORAĆE“

CENA 1 zł. 50 gr.

Wysyłamy tylko po otrzymaniu należności.

Tow. Wydawn. „Bluszcz“, Warszawa, Plac Zamkowy 99.  
Konto P. K. O. Warszawa Nr 13.555.

67 praktycznych przepisów przygotowania niekosztownych, a smacznych zimnych potraw i tartynek

p. t.

„ZIMNE PRZEKĄSKI“

CENA 1 zł. 50 gr.

Wysyłamy tylko po otrzymaniu należności.

Tow. Wydawn. „Bluszcz“, Warszawa, Plac Zamkowy 99.  
Konto P. K. O. Warszawa Nr 13.555.

masę i upiec, jak zwykle, w umiarkowanie gorącym piecu. W Anglii podobno tradycja każe piec to ciasto zamiast w formie, w starym sitku, z którego włosiane dno się wyrzuca, a zastępuje wysmarowanym masłem papierem.

### GALARETA ŻÓRAWINOWA

Szklanę żórawin zalać trzema szklankami wody, rozgotować zupełnie. Gdy wszystkie jagódki popękają, pognieść je jeszcze łyżką, precedzić przez gęsty muślin. Dodać pełną szklanę cukru, zagotować razem, jeśli płyn czysty, zaprawiać dalej, jeśli nieco mętny, sklarować białkiem, rozbitym z paru łyżkami wody, i ponownie precedzić. Zmierzyć płyn, powinno go być cztery szklanki, jeśli jest mniej, dodać gotowanej wody. Nakoniec dolać ze dwie łyżki różanej wody.— Oddzielnie namoczyć 8—10 listków żelatyny, z których dwa, dla ładnego koloru, powinny być czerwone, rozpuścić w paru łyżkach płynu, zmieszać z resztą, przelać do formy, wypłókaną zimną wodą, i wynieść na kilka godzin na chłód. Przed wydaniem, formę oetrzeć serwetą, zmoczoną gorącą wodą, przykryć półmiskiem, przewrócić, a galareta ślicznie wypadnie.

### MIGDAŁY LUB ORZECHY PRAŻONE.

Czterdzieści deka migdałów oparzyć, oczyścić ze skórki, pokrajać w paski i wysuszyć dobrze w letnim piecu. Zamiast migdałów można wziąć tyleż orzechów włoskich, lub laskowych, krajać je, nie parząc i nie ściągając z nich skórki. Czterdzieści deka cukru wsypać do miedniczki, rozpuścić bez wody, mieszając drewnianą łyżką, wsypać orzechy, lub migdały, podprażyć mieszając dalej. Wyłożyć na blat marmurowy, lub półmisek, wysmarowany świeżą oliwą. Zanim nie ostygnie zupełnie, pokrajać na kawałki nożem, smarowanym oliwą. Gdy uderzone, powinny być kruche bardzo. Trzymać w suchym miejscu, aby nie odwodniały.

### LEGUMINA Z KONFITUR

Dwie spore łyżki konfitur malinowych, poziomkowych, truskawkowych, lub marmelady malinowej, ucierać z trzema białkami i łyżką cukru, (najlepiej pudru), przez całą godzinę w jedną stronę. Powinna masa zbieleć i urosnąć pięć, lub sześć razy. Ułożyć ładnie w kopułę na półmisku, obłożyć wkoło biszkopcikami, lub makaronikami i wydać tak surową na stół. Stać długo nie powinna, bo odwodnieje. Do niej podaje się zimną śmietankę, lub mleko.

### JABŁKA NADZIEWANE

Ile osób, tyle bardzo dużychk, kwaskowych jabłek, obrać delikatnie ze skórki, środki od góry wydrążyć łyżeczką do kartofli, nie naruszając dna, aby nadziejne nie wypadło. Kilka gorzkich migdałów utłuc z cukrem, dodać drobno usiekanej pomarańczowej skórki smażonej, jedno utarte na tarce jabłko, nadziać tem jabłko. Ronderek metalowy, lub nelsonkę wysmarować masłem, ułożyć jabłka, wlać szklanę wina i ty-

leż wody, osypać jabłka cukrem. Wstawić do pieca na dwadzieścia minut. Podawać gorące w tem samym naczyniu. Jeśli chcemy je podać na półmisku, wyjąć każde ostrożnie, ubrać biszkopcikami, lub wafelkami cukierniczemi; sos, który się przy pieczeniu uformował, precedzić i podać oddzielnie w sosjerce. *Pani Elżbieta.*

## NOWA PLACÓWKA PRZEMYSŁU KRAJOWEGO



Dnia 27/I r. b. odbyło się uroczyste poświęcenie i otwarcie przez J. E. Ks. Arcybiskupa Roppa w asystencji Ks. Prałata Około Kułaka, wobec licznie zgromadzonych przedstawicieli prasy i zaproszonych gości, nowego magazynu wykwińskiego obuwia, znanego majstra Lucjana Leszczyńskiego przy ul. Nowy Świat 34. Wspaniałe wnętrza urządziła firma Thones—Mundus S. A., zdobione przez art. mal. T Gronowskiego.

## KĄCIK GOSPODARSKI JAK NALEŻY PRAĆ RADIONEM

### III.

*Dalszy ciąg z Nr. 7 z dnia 12 II. 1927 r.*

Potem należy płókać bieliznę najpierw w gorącej, a później w zimnej wodzie tak długo, aż woda będzie zupełnie czysta. Płókanie to ma nietylko na celu zupełne usunięcie rozpuszczonego brudu, ale i oczyszczenie bielizny z mydła, które jest w roztworze. Dlatego trzeba do płókania brać jak największą ilość wody.

Wyprana w Radionie i dokładnie wypłókana bielizna nabiera świeżego i przyjemnego zapachu, jak po bieleniu na słońcu. Rezultat osiągnięty jest zdumiewający — bielizna jest śnieżno biała. Cała praca, na którą dawniej trzeba było zużyć pół dnia, dokonana jest w ciągu kilku kwadransów.

Dalszy ciąg nastąpi. Wyciąć i zachować.

## KORESPONDENCJE

**Pani N. L. Lisko.** Haft Richelieu zawsze jest bardzo używany do białej bielizny stołowej. Na szarem płótnie ładnie wyjdzie haft kolorowy bawełną „coton perlé”. Sposoby wykonania znajdzie Sz. Pani w wydawnictwie naszym „Haft kolorowy” a wzory w „Bluszczu”. Formą niedźwiedzia wielkości do 35 cm.; jedynie możemy służyć Pani—robi się go z brązowego sukna. lub pluszu, wypycha cienko krajanami gałgankami, lub otrębami — cena formy 50 groszy.

### Z DZIEDZINY KOSMETYKI

**Dla Mimozy.** Zupełną słusność pani przyznaję, nigdy dwójakiego rodzaju farba nie da rezultatu, nie można uchwycić zbyt subtelnej granicy, jak również niemożliwym jest utrafić, żeby oba płyny równomiernie nasyciły włosy. Nie polecam żadnej farby, gdyż najlepsze dają nieraz fatalne rezultaty. Kolor włosów po ufarbowaniu nietylko zależy od koloru farby, ale także od zdolności przyswajania barwników przez włosy. Widziałam we Francji, w najlepszym salonie kosmetycznym, że po farbowaniu wyszły wszystkie włosy.

**Młoda przyjaciółka „Bluszczu”.** Na schudnięcie najlepiej jest stosować młodej i zdrowej osobie, mającej skłonność do tycia, masaż ogólny, sporty i gimnastykę. Dużo ruchu na świeżym powietrzu. Przeczytać w książce „Piękność i zdrowie w życiu kobiety” rozdział: „Modna sylwetka”, tam podany sposób odżywiania w analogicznych wypadkach.

**Zmartwionej.** Kurację przepisaną proszę stosować nadal. Włosy, których cebulki obumarły przed kuracją, muszą wypaść. Taki obumarły włos tkwi jeszcze w skórze 75 — 90 dni.

Bólu gardła, powtarzającego się chronicznie, nie należy lekceważyć — udać się do specjalisty, gdyż bez zobaczenia nic nie można powiedzieć.

**Dla Eunice.** Białe plamy na paznokciach leczą się naogół trudno, najlepiej skutkuje światłolecznictwo.

Na katar chroniczny proszę poradzić się lekarza specjalisty, tymczasem stosować: 2% protargol — po 2—3 krople wkraplać do nosa.

**W. Ł.** Bez zbadania nie można dać odpowiedzi w tym przypadku — prawdopodobnie masaż ręczny dałby najlepszy wynik, skoro środki wewnętrzne nie pomagają.

**Pani z Grudziądzka.** Na włosy proszę stosować następujący płyn, wcierając w skórę głowy codziennie na noc:

drachin comp 10,0.  
spir. lavandul 80,0.  
Spir. vini 100,0.  
Ds. zewnętrzny.

Ręce strzec od ostrych zmian temperatury, umyć w letniej wodzie i wcierać Mój Krem do rąk, zmiękczający naskórek, Świeżość cery w znacznym stopniu odzyska pani, stosując kąpiele przemienne — 10 okładów zimnych i 10 gorących, każdy trwa sekundę naprzemian, raz gorący, raz zimny. Okłady zimne proszę stosować

z wody o temperaturze pokojowej, gorące zaś z lekkiego odwaru ryżu. Zwrócić uwagę na stan ogólny organizmu. Mój krem do rąk kosztuje 3 zł.

**Proszącej.** Przeciw wypadaniu włosów proszę stosować 3 razy na tydzień płyn, który należy wcierać w skórę głowy najlepiej miękką szczoteczką w przeciągu sześciu tygodni.

Spir. lavandul 100,0  
Chin. muriat 0,5

Mycь włosy raz na 2 tygodnie Mojem mydłem płynnym. Łyzkę mydła na zmoczone włosy, utworzyć pianę i spłókać obficie wodą letnią, do ostatniej wody — łyżkę octu dodać.

**Jadwidze.** Sposób mycia włosów — jak „Proszącej”. Kuracja, jaką pani stosuje na cerę, jest dobra, tylko proszę jeszcze do dać 3 razy w tygodniu parówkę, potem Mój Krem do twarzy. Co dziennie na noc smarować ręce kremem do rąk. Książka moja wyszła z druku p. t. „Piękność i Zdrowie”. Zamawiać w „Bluszczu”.

**Pani Wandzie.** Na twarz proszę stosować mycie zrana i wieczorem ciepłą wodą, dobrem mydłem, najlepiej liljowym, potem spłókać zimną. Raz na dzień wytrzeć twarz następującym płynem:

Ac. salicyl  
Spir. vini 50,0.

Codziennie zrana po umyciu wetrzeć odrobinę Mego Kremu i przypudrować. Proszę zwrócić uwagę na funkcjonowanie żołądka, gdyby był obstrukcyjny, to codziennie na czczo wypić pół łyżeczki soli Karlsbadzkiej, rozpuszczonej w pół szklance letniej wody. Stosować to w przeciągu 3 tygodni.

**UWAGA:** Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:  
palto, lub suknia fantazyjna . . . . . zł. 3.50  
suknia zwyczajna . . . . . „ 2.50  
bluzka . . . . . „ 2.00  
formy dziecinne . . . . . „ 2.00  
bielizna . . . . . „ 1.50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrusek — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne dęsenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu”, nie wysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

### KSIĄŻKA

p. t.

## „WZOROWA PANI DOMU“

zawiera zasady praktycznego i wykwinetnego prowadzenia domu i przyjmowania gości.

CENA 1 zł. 50 gr.

Wysyłamy tylko po otrzymaniu należności.

Tow. Wydawn. „Bluszcz”, Warszawa, Plac Zamkowy 99.  
Konto P. K. O. Warszawa № 13.555.

### KSIĄŻKA

p. t.

## „KUCHNIA DZIECIĘCA“

podaje potrzebne dla każdej matki sposoby racjonalnego i zdrowego odżywiania dziecka.

CENA 1 zł. 50 gr.

Wysyłamy tylko po otrzymaniu należności.

Tow. Wydawn. „Bluszcz”, Warszawa, Plac Zamkowy 99.  
Konto P. K. O. Warszawa № 13.555.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: WANDA PEŁCZYŃSKA (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW  
Redakcja i Administracja, Warszawa, Krak. Przedm. 99. tel. 239-40. Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 8, tel. 244-18.